

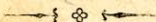
Z KRWAWYCH DNI.

822



70

J. SCHERR.



# Z KRWAWYCH DNI

(Komuna paryska).

Przetłóżył z niemieckiego

822

Z. K.



WARSZAWA

DRUK A. T. JEZIERSKIEGO NOWY-ŚWIAT 47.

1906



## PRZEDMOWA.

Począwszy od wielkiej rewolucyi francuskiej, poprzez wszystkie rewolucye i ruchy socyalne XIX stulecia aż po dzień dzisiejszy, jesteśmy świadkami walk i gwałtownych starć klasowych, których rozwiązanie tkwi w ciemnej zagadce przeszłości. Wśród bolesnych skurezów i drgań organizmów społecznych przebija sobie drogę nowy, nieznany nam świat.

Nic dziwnego, że ludzie nauki zwrócili w tę stronę swoje oko i ucho, wsłuchując się w złowrogię poszumy, jakie raz wraz zrywają się na całych obszarach świata. Jednym z gwałtownych i nieoczekiwanych wybuchów tej burzy była krótkotrwała komuna w Paryżu w r. 1871.

W sposób przystępny, a równocześnie i poważny zajął się tym tematem znany historyk niemiecki, autor słynnej książki o rewolucyi r. 1848, Johannes Scherr. Nie należy on do tych uczonych, dla któ-



115032

K-60/81 130323

rych historia jest nauką sucho jeno katalogującą i opisującą fakty. Po za historycznymi faktami widzi on ludzi żywych z całym splotem ich indywidualnych interesów, pożądań, ambicyi, egoizmów i szlachetnych wlotów, a po za ludźmi dopatruje się i szuka wszystko w jedność wiążącej myśli, idei, która kieruje losami „tragi-komedyi ludzkiej, zwanej także historią”.

W tych cechach charakterystycznych Scherra leżą wszystkie zalety, ale również i wady jego, jako historyka. Książka o komunie jest pięknym obrazem tego „historycznego epizodu”, obrazem, mieniącym się najrozmaitszemi barwami. Autor nie może patrzeć na wypadki, o których mówi spokojnem okiem gabinetowego uczonego.

Za szaremi kartami jego książki, czujemy bijące serce człowieka, serce, odpowiadające echem na każde drgnienie duszy ludzkiej, widzimy oko autora żywe, ogniste, pełne entuzjazmu, lub oburzenia, skrzące się płomieniem współczucia lub gryzące ostrą ironią i sarkazmem. Ztąd wszystkie stronic „komuny” są przepojone gorącym poszanowaniem dla pięknych stron natury ludzkiej, a bezmiernym wstrętem i pogardą dla brzydkich i zwierzęcych cech człowieka. Scherrowi nie wystarcza opis jakiegoś faktu. Musi on go jeszcze oświetlić z punktu widzenia społecznego, obyczajowego, psychologicznego, etycznego i filozoficznego. Ponadto nie może on się wstrzymać od wydania osobistego, że tak powiem, prywatnego swego zdania, lub od wypowiedzenia jakiejś refleksyi nie należącej nawet do rzeczy. Bezwzględ-

ny, a często brutalny analityk robi nieraz cały szereg uwag na ogół skrajnie pesymistycznych i ponurych. Tak np., skończywszy historię trzechmiesięcznego panowania komuny w Paryżu, przechodzi do rozważań ogólniejszej natury, które go doprowadzają do smutnego wniosku, że przeznaczeniem człowieka jest iść ciągle, nie patrząc naprzód, ani w tył, nie ucząc się nic z tego, czego go dotychczasowa historia powinna była nauczyć. „Historia uczy tylko tyle, że ludzi nigdy niczego nie nauczyła”, powtarza autor za filozofem Heglem.

Tego rodzaju sposób pisania ma jednak także i swoje ujemne strony. Autor, który pisze tylko mózgiem, obserwuje jedynie tylko zimną, analizującą myślą, dla którego człowiek i jego życie jest tylko „zawilem zrównaniem rachunku” — taki pisarz ma wszelkie dane po temu, aby być obiektywnym. Niestety, nie można tego powiedzieć o Scherrze. Bardzo często spotykamy np. w jego książce o komunie i szowinizm niemiecki, który mógł istotnie łatwo znaleźć pole dla siebie w historii, opisującej fakty, jakie zdarzyły się natychmiast po ukończeniu wojny francusko-pruskiej. Niemiec nie mógł tego zrozumieć, że kiedy nieprzyjaciel jest jeszcze w kraju, tysiące rodaków znajduje się w niewoli, w Paryżu wybucha rewolucya?

Ztąd łokciowy *pater-noster* na temat manii wielkości Francuzów, która chciała światu całemu dać niebawale dotąd widowisko i t. d. Syn narodu porządnego, solidnego, narodu największych filozofów świata, ale równocześnie narodu Bismarków i haka-

ty, nie rozumie Francuzów, narodowości rzutkiej, lekkiej, zapalnej, wesołej, narodowości zmiennej i ruchliwej jak powierzchnia morza, ale także głębokiej jak głąb oceanu...

Do najciekawszych kart „komuny” należą charakterystyki pojedynczych grup i ludzi. Autor potrafi daną postać rzucić na barwne tło wypadków, inteligentnie i prawdziwie, potrafi w charakterystyce uwypuklić, strony najistotniejsze danej osoby, oświetlić jej postępowanie w odpowiedniej chwili, przytoczyć jakieś opowiadanie z jej życia—i staje przed nami żywy, zrozumiały, plastyczny człowiek.

Ale człowiek, wychodzący z innych założeń i konstrukcyi w swoich poglądach społeczno-politycznych, bierze tutaj znowu górę nad historykiem. Scherr pozwala sobie chwilami na ocenę niesympatycznych mu ludzi i grup, w sposób, godny publicysty, zwalczającego obóz przeciwny — ale nie historyka. Nie chce się zadowolić prostem opisaniem faktu, który swoją dzikością mówi już sam za siebie, lecz daje swoje komentarze, zaczyna poprostu brutalnie wymyślać i czytelnik widzi, że autora zalewa żółć i złość.

Wszystkie te wady i zalety autora sprawiają, że książkę czyta się z ogromnem zainteresowaniem aż do ostatniej stronicy. „Komuna” należy do tych książek, które umieją zająć całą uwagę czytelnika, pochłonać go, zmusić do myślenia i zastanawiania się nad wielu pytaniami, które dzisiaj, a specjalnie u nas, należą do najważniejszych zagadnień życia narodowego i społecznego.

## W S T Ę P.

Mozolną istotnie drogą idzie wskroś pokolenia ludzkie, wynędzniała i obdarta prawda-kopciuszek, gdy natomiast kłamstwo i złuda, w jedwabiach i aksamitach, w szmince i klejnotach grają rolę światowych, pieszczonych dam, którym każdy schlebia i służy. Czasem w poezyi znajduje ten biedny kopciuszek uznanie—w życiu nigdy. W czasach, kiedy gryząca prawda nagich faktów staje się zbyt ciężką, człowiek, lękający się dotrzeć do jej okrutnego rdzenia, przysłania ją błękitną mgłą iluzyi. Człowiek bowiem pragnie się tylko okłamać, a nie nauczyć.

Dlatego to tak dziwnie mała korzyść z tej surowej *magistra vitae*—historyi, a wielkie upodobanie narodów do legendy, która umie się upudrować i wyстроить stosownie do ludzkiej potrzeby okłamywania się.

Dlatego to tak mało ludzkość nauczyła się z historyi wielkiego przewrotu państwowego we Fran-

cyi przy końcu osiemnastego stulecia, podczas gdy legenda o Wielkiej Rewolucyi żyje do dzisiaj, wierając ciągle swój wpływ ogromny.

Pierwszym bękartem tej legendy jest francuska mania wielkości.

Począwszy od wieków średnich, Europa zaczęła naśladować i hołdować modom francuskim, czem wzmocniła i podsyciła narodową próżność Francuzów i tak już głęboko zakorzenioną w celtycko-romańskiej istocie. Od czasów jednak Ludwika XIV całe wyższe wykształcenie w Europie było tak nędz-nem, tępem i haniebnem małpowaniem kultury francuskiej, że lada fryzyer lub cukiernik, przebywający po za granicami Francyi mógł się uważać za głosi-ciela kultury i cywilizacji. Ale obłudne i zuchwałe przeświadczenie o swej wielkości narodowej dosięgło u Francuzów ostatecznie szczytu, gdy spostrzegli, że niszcząc i ratując, anektując i tyranizując kraje swoich prostodusznych sąsiadów są uważani przez nich za kapłanów równości, wolności i braterstwa.

I — dziwną rzecz! — Nawet ten brutalny fakt nazwała błyskotliwa a powierzchowna legenda wolnościową i cywilizacyjną misją Francyi.

Musiało więc być naturalnym rezultatem tego wszystkiego, że w świadomości narodowej Francu-zów zakorzeniła się idea maniacka, iż Francya jest centrem świata, Paryż zaś, jako jej serce jest „świę-tem miastem”, „światłością świata”, mózgiem i ser-cem ludzkości”. Wskutek tego nie wątpił żaden rzetelny Francuz, że całe *universum* leży nad Sek-

waną i że tylko geniusz Francyi ma prawo myśleć, chcieć i rozkazywać.

Świadomi rzeczy stwierdzą, że w tem, co po-wiedzialem, niema przesady; nieświadomi mogą zna-leźć potwierdzenie w książkach o rewolucyi francu-skiej takich bajko-pisarzy, jak Thiers, Blanc i Mi-chelet. W tych książkach nie jest wedle zasług czczone i podkreślone to, co w rewolucyi było isto-tnie zbawcze i wielkie, czego rewolucya chciała, i co dokonała, nie! lecz maniackie wyobrazenie o tem, jakoby Francya jedyna posiadała monopol i przy-wilej zawsze „kroczyć na czele cywilizacji”. Zresztą nietylko naoczni świadkowie, nietylko współdziałający i sympatyzujący z rewolucją stworzyli tę nieszcze-sną legendę. Przeczytajmy współczesne sprawozda-nia Mercier'a, Beaulieu, Toulangeon'a, Lacrosette'a, Jullien'a, Prudhomm'a, Nodier'a i Anny Louiz'y Germaine de Staël. Legenda rewolucyjna powstała i rozwijała się w łonie opozycji liberalnej, która wal-czyła przeciw odrestaurowanej monarchii Burbo-nów. Miguet, jeden z publicystycznych menerów opozycji, dał tej liberalnej „kuźni mytów” autorytet swego nazwiska jako autor historii rewolucyi.

Drogą przez niego wskazaną szli coraz dalej i coraz zuchwalej wyżej wymienieni bajko-pisarze. W ten sposób do olbrzymich rozmiarów wydeła le-genda rewolucyjna, oraz sfalszowany przez Ségur'a, Béranger'a i Thiers'a myt o Napoleonie służyły przez długie lata francuskiemu liberalizmowi, jako skuteczny środek opozycyjny. Partye wyrosłe za plecami literatów wyciągnęły jednak z przesłanek

legendy rewolucyjnej wręcz inne wnioski, niżby tego pragnęła i życzyła sobie parlamentarno-konstytucyjna opozycja. Rozdział tej książki legend rewolucyjnych o roku 1793 stał się ulubionym przedmiotem czci i naśladowania dla radykałów i ortodoksyjnych republikanów. Uważali się więc za misjonarzy rewolucyjnej i republikańskiej ewangelii świętego Jakóba, którą mieli na cały świat głosić z „serca świata”, z Paryża. Niewystarczało to jednak rozmaitym sektom socjalistów i komunistów, których wychowali Saint-Simon, Fourier, Cabet i Blanc. — Wyczytali oni z rewolucyjnej legendy jeszcze całkiem coś innego: że mianowicie wszystko obecne jest godnem zniszczenia, że dalej, europejskie społeczeństwo należy zamienić w kupę gruzów, aby potem na ubitem walcem równości rumowisku zbudować gmach nowy, gmach, gdzie nie będzie już ani Boga, ani króla, ani państwa, ani kościołów, ani własności, ani małżeństwa, ani rodziny, ani prawa spadkowego, ani bogactwa, ani nędzy.

Na jedną jeszcze, dalszą różnicę trzeba zwrócić uwagę. Francuska mania wielkości stała się dla radykalnych polityków takim dogmatem, że republikanie w rodzaju Quinet'a i Gambett'y Byli jeszcze bezpośrednio przed rokiem 1870 przekonani, że przed ugruntowaniem republikańskiej solidarności ludów musi przyjść do wojny, aby cały lewy brzeg Renu zdobyć dla Francji. Miała to być jednak, zdaniem tych panów, już ostatnia wojna. A francuscy komuniści i socjaliści zwalczali tymczasem wraz z innymi „zbutwiałymi” poglądami i ten obłądny

szowinizm. Jeżeli się już ma z całej ludzkości zrobić jedną rasę, to trzeba ją przynajmniej (dla przyzwyczajenia) podlać sosem kosmopolitycznym. Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że francuscy socjaliści i komuniści w tajemnicy zachowywali dla siebie przywilej zostania zaprawą tej ogólnoludzkiej „bryi”, ale publicznie działali coraz bardziej kosmopolitycznie, mianowicie wtedy, gdy od roku 1864 począwszy, socjalistyczne sekty Francji ulegały świadomie, lub nieświadomie, hasłom, wydawanym z Londynu przez „Radę generalną”, albo jeszcze bardziej przez „komitet, kierujący międzynarodowego związku robotniczego”.

Dlaczego i jak Napoleon III posługiwał się internacjonalizacją i socjalizmem jako środkami pomocniczymi swojej polityki, jest rzeczą powszechnie wiadomą, jak i to, że względy, okazane ze strony drugiego cesarstwa, nadzwyczajnie ułatwiły i czyniły skuteczną socjalistyczno-międzynarodową propagandę w Paryżu. Podczas upadku cesarstwa czuli się wskutek tego „czerwoni” — tego określenia będą odtąd dla krótkości używał, jako nazwy socjalistyczno-komunistyczno-międzynarodowej partii — dosyć silnymi, aby czynnie wystąpić, zawładnąć Paryżem, a wraz z nim, ma się rozumieć, Francją. Było to jednak troszeczkę za wcześnie. Trzeba było przedtem oblężenia Paryża przez Niemców, aby w głowach błękitno-biało-czerwonej większości Paryżan powstał taki chaos pojęć i tępość, że umożliwiło to tyranję czerwonej mniejszości.

Nader przychylnie dla tej mniejszości ułożyły

się stosunki po zawarciu warunków zawieszenia broni preliminaryów pokojowych w Versalu. Jules Favre, jak gorliwy pełnomocnik czerwonych, osiągnął wbrew ostrzeżeniom i życzeniom niemieckich pośredników zgodę na to, aby narodowe gwardye paryskie zatrzymały swoją broń. Większość straży obywatelskiej składała się od marca 1871 roku z elementów rewolucyjnych, które podczas oblężenia miasta przez Niemców trudniły się rzemiosłem wojskowym. Ludzie ci chcieli i nadal zostać w służbie, gdyż przyzwyczaili się do otrzymywania 1½ franka żołdu dziennie, a żony ich i dzieci dostawały utrzymanie rządowe. Tak więc czerwoni, wzięwszy w posiadanie władzę, rozporządzali zorganizowaną siłą wojenną 250 mniej lub więcej silnych batalionów, z których najpewniejsze rekrutowały się z dzielnic Faubourge, Mont-Martre, Villette, Belleville, Menilmontant, Montrouge, La Chapelle i Glacère.

Bataliony te składały się z ludzi przez całe miesiące odzwyczajonych od pracy i życia domowego, wskutek lenistwa rozwydrzonych i roznamiętnionych, niewykształconych i łatwowiernych, a do tego jeszcze rozagitowanych mowami szalonych lub łotrowskich mówców klubowych. Wrzeszczeli oni stylem biuletynów Gambett'y, że Francji i Paryża nie zdobyto, ale, że ją zdradzili i sprzedali „Prusakom” imperjaliści, legitymiści, orleaniści, burżuje—republikanie, Badinguet, Bazaine, Thiers i Favre; fantazyowali, że stare społeczeństwo haniebnie zbankrutowało, że konieczną jest wielka likwidacya a ugruntowanie nowego, czerwonego, ateistycznego i komn-

nistycznego ustroju, państwa czwartego stanu, komuny proletaryackiej. Do „Paryża”—tej wspaniałej wszechświatowej kloaki, do jej żywiołów domowych i przyczyn gwałtownego wyrotu dodać należy „katorylinarne indywidua”, które spłynęły z wszystkich kątów i krańców ziemi, przynosząc tutaj swoje występki i cierpienia, iluzje i rozczarowania, wyrzuty sumienia i żądze zemsty, pożądania i nadzieje. Nic w tem dziwnego, że naturalnym skutkiem przyczyn naturalnych było oberwanie się nagromadzonych chmur podczas strasznej burzy marcowej i odpowiadało logice faktów to, że francuska mania wielkości postanowiła przemienić Paryż, Francję, Europę, świat cały i poprowadzić ludzkość pod czerwonym sztandarem.

Jednak nie kończą się na tem jeszcze przy czyny, które spowodowały historyczną katastrofę z marca roku 1871. Tysiące Paryżan nie zaliczających się do stronnictwa czerwonych patrzyło z nieufnością i gniewem na zgromadzenie narodowe, które obradowało w Wersalu. Należy przypomnieć także słowa niemieckiego kanclerza Bismarka wypowiedziane w parlamencie: „Komuna paryska miała słuszość, żądając w gminach takiego ustroju, jaki egzystuje w Niemczech”. Pan de Marade popełnił celowy albo mimowolny błąd, nazywając te słowa w książce swojej *La guerre de France* (II, 461), *plaisanterie teutonnie*. Kanclerz myślał to całkiem poważnie, a jego wypowiedzenie się stwierdziło tylko ten fakt historyczny, że między innymi przyczynami powstania marcowego 1871 roku znajdowało się niewątpliwie



żądanie przeciwstawienia autonomii gmin więzom centralizacji, narzuconej Francji przez Ancien Régime Konwent i Napoleona. Rozumna ta myśl wywołała jednak brutalny fakt, że „obywatele” komuniści uważali za rzecz całkiem naturalną, iż komuna paryska powinna zawładnąć despotyczną Francją tak samo jak nią zawładnął Paryż za czasów Ludwika XIV a później, za czasów konwentu, Napoleona pierwszego i trzeciego. Czyżby komuna, będąc innego zdania ważyła się swoją wolę, wolę garstki awanturników, przeciwstawić woli całego narodu, która niedawno wypowiedziała się jasno i stanowczo w kierunku całkiem przeciwnym podczas wyborów do zgromadzenia narodowego? (a były to wybory najwolniejsze, jakie we Francji kiedykolwiek istniały). „Cóż u diabła obchodzi nas prowincya?” — powiedział największy cynik komuny, obywatel Rigault.

Przyjrzyjmy się jeszcze głównej przyczynie roku 1871. Głupotą byłoby twierdzenie, że tę rewolucję wywołała banda błaznów i łotrów, dzięki przychylnym dla nich okolicznościom. To prawda, że głupota i łotrowstwo były i będą zawsze największymi potęgami świata. Niemniej i to jest prawdą, że od początku dziejów ludzkich setki tysięcy jednostek szły na śmierć z ekstazą i fanatyzmem w imię głupstw błyskotliwych, lub widocznych łotrów, uważając je za bożyszczą i ideały. Dlaczego? Ponieważ w nie wierzyli. Tak, jak nie istota rzeczy stanowi o ich wartości, lecz pozór, podobnie i popularność jakiejś idei zależy nie od jej prawdy, a od

kredytu. Tylko ludzie zaślepieni ciasnotą partyjną mogliby zaprzeczyć, że tysiące komunardów z roku 1871, umierając w obronie komuny, nie umierało z głęboką wiarą, iż dają życie za naród i ludzkość.

Już to samo powinno w ludziach poważnie myślących wzbudzić przeświadczenie, że mamy tu do czynienia z historyczną koniecznością, a nie z lekkomyślną, w dziki sposób wykonaną, awanturą. Niemniej jednak wchodziły tu w grę osobiste porachunki i dzikie namiętności, jak zresztą zawsze w historii. Jakim bowiem jest człowiek, taką i jego historia.

Jaka konieczność historyczna sprowadziła rok 1871? Jaka idea parła ku urzeczywistnieniu się?

Idea rewolucji socjalnej.

Czyżby ona była koniecznością historyczną?

Jest to tak samo pewne jak i to, że koniecznością historyczną była również i rewolucya w osiemnastym stuleciu. Piętnaste stulecie rzuciło zasiew; w szesnastym zakwitło nasienie; w siedemnastym nasienie dojrzało, a w osiemnastym „żelazem i krwią” zebrano plon, t.j. zdobyto równouprawnienie wszystkich klas wobec państwa. Równocześnie z tą rewolucją zaczęły kiełkować pierwsze zarodki rewolucji socjalnej. Przeciwiństwo interesów bogaczy i biednych było siłą popychającą do jej wybuchu. Kolosalny rozwój wielkiego przemysłu, a co za tem idzie odpowiednie wychowanie milionowego proletariatu wzmagają kryzys społeczny z roku na rok, z dnia na dzień, z godziny na godzinę i zdążają do nieuniknionej katastrofy, jaką będzie zażarta walka klas.

A rozumne uzasadnienie tego strasznego wyniku? Zostawmy lepiej na boku to, co zwykliśmy nazywać rozumem. Odrzuciwszy zbyteczną frazeologię możemy całą kwestję społeczną i moralność socjalnej rewolucji sprowadzić do jednemu żądania: Ty wstań od stołu, teraz ja siądę ucztować! Kto chce i umie patrzeć dojrzy tę myśl poprzez wszystkie frazesy i czyny, błazeństwa i niegodziwości paryskiej komuny. Komuna była pouczającą uwerturą do strasliwej tragedji: nadchodzącej rewolucji socjalnej.

„Pesymizm!”—mówicie.—„Znamy już tę minorową piosenkę”.

„Więc nie uznajecie problemu społecznego”?

„Nie koniecznie! Ale po pierwsze, niebezpieczeństwo nie jest jeszcze ani tak wielkie, ani tak bliskie, powtóre zaś rządy wraz z kateder-socyalistami postarają się wstrzymać zbliżającą się lukę za pomocą reform państwowych”.

Istotnie? Czyż w XVIII stuleciu reformy polityczne zdołały wstrzymać rewolucję polityczną? Cóż pomogły te wszystkie uczciwie zresztą pomyślane, reformatorskie zamiary „oświeconych” despotów i ich „oświeconych” ministrów? Tyle chyba, że przyśpieszyły wybuch rewolucji. Dzisiaj lawina społecznego przewrotu pędzi tak szybko, że wszelkie reformy są tylko pyłkiem na jej drodze.

Nieufnie, szyderczo nawet odwracacie się od tej ponurej przepowiedni?

O, macie rację! Naiwnością jest głuchym mówić prawdę, a ślepym oczy otwierać. Zawsze i wszędzie nie zwracali ludzie uwagi na przykre dla nich

ostrzeżenia. Kiedy w szóstym i siódmym dziesięcioleciu osiemnastego stulecia, ludzie, obdarzeni darem przewidywania, jak Voltaire i Rousseau przepowiedali zbliżenie się rewolucji, wyśmiewano ich i nazywano pesymistami i hypochondrykami. Później odechciało się śmiać niedowiarkom zupełnie.

I tym, którzy się dzisiaj śmieją, odechce się śmiać gruntownie. Bo logika historii żąda swych praw, a losy muszą się spełnić.

## I.

### Krwawe widowisko.

Już 31 października 1870 r., później 22 stycznia 1871 zabłysły pierwsze płomyki niezadowolenia nie podsyczone jednak przez apatycznych Paryżan łatwo zostały stłumione przez „*Défense nationale*”.

Dnia 18 marca 1871 r. brak rozważli wziął jednak górę nad rozumem. Zuchwałość powstania odpowiadała w zupełności słabości rządu. Rząd, czyli dyktator Thiers, prawdę mówiąc znajdował się w położeniu niezmiernie ciężkiem, gdy musiał walczyć nie tylko przeciw zwycięzcom niemieckim, ale też przeciw rojalistyczno - klerykałnemu Zgromadzeniu narodowemu i elementom socjalistycznym. Musiał on wstrzymać Zgromadzenie narodowe w Wersalu od ataków reakcyjnych, wypełnić warunki pokoju, włożone na Francję, utrzymywać obce wojsko, zebrać miliardy na kontrybucję, armię zreorganizować i stawić czoło czerwonej rewolucji w czasie kiedy tysiące żołnierzy francuskich przebywało w niewoli niemieckiej.

Niemniej jednak słusznym jest zarzut, że rząd mógł zrobić o wiele więcej niż zrobił, aby niedopuszczyć do 18-go marca, i że to co zrobił, mógł zro-

bić o wiele lepiej. Mógł wiedzieć i wiedział niewątpliwie jakiego rodzaju elementy przewrotu wchodziły w skład paryskiej gwardii narodowej. Początek nieszcześcia datuje się od chwili kiedy na żądanie Favre'a podczas zawieszenia broni gwardyi pozostawiono uzbrojenie. Rząd Thiers'a pogorszył jednak położenie, pozwalając żołnierzom socjalistyczno-międzynarodowego sprzysiężenia zatrzymać setki dział w dzielnicy Mont-Martre i w Butte Chaumont pod śmiesznym pozorem, że należy je schować przed Niemcami, którzy 1-go marca mieli w tryumfalnym pochodzie wejść do Paryża. Chociaż jest bardzo możliwe, że patryotycznie usposobiony starzec, który z Wersalu rządził Francją nie mógł przypuszczać, aby obywatele francuscy odważyli się rozpocząć wojnę domową w chwili, kiedy załogi niemieckie zajmowały wschodnie i północne forty Paryża, i cały wschód i północ Francji były w ich rękach.

Jednakowoż tak doświadczony i znający ludzi człowiek jak Thiers musiał przypuszczać i tę straszliwą możliwość, skoro rozważył, że po mieście szwenda się dziesiątki tysięcy ludzi, przekonanych, że praca jest przekleństwem, a używanie zbawieniem, że wszystko co jest świętego między ludźmi, wszystko, co łączy i trzyma społeczeństwo: miłość ojczyzny, poczucie narodowe i świadomość obowiązków, to zasady dawno zbankrutowane. To właśnie było tajemnicą komedyi, że narodowe gwardye dzielnic rewolucyjnych słuchają rozkazów pewnego „centralnego komitetu”, który powstał, mniej więcej, w ten sam sposób, jak i komuna rewolucyjna w Paryżu w nocy z dnia 9-go na 10-ty sierpnia 1792 roku.

Wiedziano, że hasło wydane jeszcze poprzedniej zimy: „zbudować komunę”, znalazło w masach fałszywą wiarę;iedziano, że głównym spiskowcem jest Blanqui, który za czasów Ludwika Filipa zdradził swoich towarzyszy w policyi. On to, mając ogromny wpływ i popularność wśród tłumu przygotował w Paryżu i w Lyonie wybuch rewolucyi komunalnej oraz

starał się o wywołanie takich rewolucyi w miastach południowej i zachodniej Francji. Wiedziano wreszcie, że do Paryża zjechało w ostatnich tygodniach mnóstwo kosmopolitycznych awanturników, którzy na swoim sztandarze wypisali: „*La révolution c'est notre carrière*”. Wszystko to wiedziano w Paryżu, a mimo to wyobrażano sobie, że można nie zwracać uwagi na to poważne niebezpieczeństwo, a nawet niem pogardzać.

Wreszcie po długiej zwłoce zdecydował się rząd przystąpić do działania. Ale plan zabrania baterii z Mont-Martre, którą to dzielnicę powstańcy zabarykadowali, tak został niedbale przeprowadzony i niedołącznie uskuteczniiony, że to właśnie dało spiskowcom oddawna oczekiwaną przez nich sposobność do wybuchu i zagarnięcia władzy nad Paryżem w swoje ręce.

Wojskowe zarządzenia były niewystarczające, a do tego bez związku wykonane.

Siła wojskowa mająca w sumie 30,000 ludzi, była dostateczną, ale niestety, najważniejszy punkt powierzono pułkowi, który mógł zawieść zaufanie w niem położone.

Z początku szło wszystko dobrze. W pierwszych godzinach dnia 18 marca ruszyły kolumny wojskowe przeciw Mont-Martre, Belleville i Butte Chaumont.

Z braskiem dnia obsadzono wszystkie drogi, wiodące do zachodnich i południowych dzielnic miasta. Generał Lecomte z brygadą, złożoną z pułku piechoty № 88, jednego batalionu strzelców de Vincennes i kilku szwadronów żandarmów, zdążył wżakimi ulicami do wieży Solferino wżwyż dzielnicy Mont-Martre. Generał Sustielle z jednym szwadronem konnych strzelców i kompanią żandarmów obsadza równocześnie Place Pigalle. Żaden z generałów nie spotkał się z oporem. Było to prawdziwą niespodzianką, a źle strzeżone działa znalazły się wkrótce w rękach wojsk. Chodziło teraz tylko o prze-

wiezienie armat. Ale nie było do tego potrzebnej liczby koni na miejscu, ani nie można było urządzić tego dosyć prędko. Wogóle wszystko się rozłożyło i zarówno wśród żołnierzy jak i generałów odbijał się anarchiczny zamęt, panujący w całym kraju.

Tymczasem ranni goście z piwiarni i kucharki, niosące bułki w ulicach Mont-Martre, zaalarmowały dzielnice sąsiednie, kupki chłopaków, kobiet i członków straży obywatelskiej zaczęły się gromadzić przy dźwiękach marsza i wyciu dzwonów. Grupy rozszoszonych patryotów i rozwścieczonych patryotek wyrosły jak z pod ziemi i od gromady do gromady poszedł dziki krzyk: „Zdrada! Zdrada! Chcą nam ukraść nasze armaty. Arcyłotr Thiers chce nas rozbroić, a potem skartaczować. Precz ze złodziejami!”

„Arcyłotr” Thiers! Taką była wdzięczność względem człowieka, który całymi nocami pracował nad uwolnieniem swojej ojczyzny od obcej inwazyi i nad odbudowaniem państwa francuskiego. Słuszna podzięką—mówi historya. Tylko kuglarze i łotry mogą być pewni łaski i pokłasku niższego lub wyższego motłochu. Sztuka popularności polega na tem, iż trzeba być bardziej prostackim niż wyższy i niższy gmin, a kto chce imponować ludom, albo ludziom, musi najpierw nimi pogardzać. Neron, Tamerlan, Iwan Groźny, Napoleon, stają się w pamięci z podziwem na nich patrzącej potomości bogami. Dlaczego? Ponieważ pogardzali ludzkością. Sokratesowi kielich z trucizną, a prorokowi z Nazaretu śmierć na krzyżu, ale Sulli dyktatura a potworowi Kaliguli panowanie nad światem i ubóstwienie! Manon Roland na szafot, Marat do Panteonu! Szylerowi trumnę z prostego drzewa, szczęśliwemu giełdziarzowi i złodziejowi milionów, marmurowe mauzoleum!

Nie była to walka, ale zmaganie się tłumu robotników, kobiet, żołnierzy i straży obywatelskiej.

Walkę rozstrzygnęła zuchwałość nacierających i nędzna uległość atakowanych. Wojsko nie chciało się bić. Gdy nadeszły gwardye narodowe z dzielnic Mont-Martre, La Villette i Batignolles i stanęły na przeciw stanowiska generała Lecomte rozpoczęło się „zbratanie”. Żołnierze, a najpierwszy liniowy pułk 88, odmówili posłuszeństwa, odwrócili karabiny kolbami do góry, łamali szeregi, mieszałi się z tłumem, szli z dziewczkami do traktierni i prędko spojeni śpiewali marsyljanke na wyścigi z patryotami i patryotkami. Nieszczęśliwy generał Lecomte na którego rozkaz strzelania do napierających tłumów wojsko odmówiło posłuszeństwa, dostał się do niewoli wraz ze swoim sztabem i pewną liczbą wiernych mu żandarmów i w otoczeniu wyjącego motłochu został zawleczoney do Chateau Rouge przy ulicy Clignancourt.

W podobny sposób zakończyła się akcja rządowa na placu Pigalle i na Butte Chaumont. Z wyjątkiem żandarmeryi, za słabej do zduszenia powstania, reszta wojska wszędzie „bratała” się z tłumem, zapominając o obowiązku, honorze i prawie. Generał Vinoy, dowodzący nieudaną ekspedycją, czuł się zmuszony koło południa dać znak do odwrotu, aby resztę wiernych pułków uchronić od zarazy. Skutkiem tego wszystkiego usunął rząd swoje wojska z dzielnic, leżących nad lewym i prawym brzegiem Sekwany. Pan Thiers prawdopodobnie przypomniał sobie radę, jaką dał w dniu 24 lutego 1848 r. zdetronizowanemu Ludwikowi Filipowi, ażeby wszystkie wojska razem zebrane wycofał z ogarniętej powstaniem stolicy do St-Cloud i później, dobrze się przygotowawszy, zaatakował rewolucję. Rządowi nie pozostało nic innego, jak odwrót do Wersalu. Dwie bowiem odezwy, które rząd wystosował jeszcze tego samego dnia do gwardyi narodowej, aby ją chwyciła za broń przeciw „garstce zaślepieńców, wynoszących się nad prawo i posłusznych tajnym przywódcom, a stanęła w obronie ojczyzny i republiki”, speszły całkowicie na ni-

czem. Wojska bratały się, straż obywatelska, nawet z niezbundetowanych dzielnic, oddała się zwycięskiej rewolucyi,—rozumniejszym nie pozostawało więc nic innego, jak tylko usunąć się.

Kiedy rząd się cofnął, wyszedł ze swojego ukrycia „komitet centralny” i począł z siedziby swojej № 6, przy ulicy Rosier w Mont-Martre wydawać rozkazy, które dokładnie wypełniano. W ciągu południa zamieniono dzielnice: Mont-Martre, Belleville i la Villette na główne podstawy strategiczne powstania, otaczając je barykadami i baterjami dział; po południu zaś zaatakowano centrum Paryża, które wcale nie bronione, łatwo zostało zdobyte. Po zdobyciu, około godziny czwartej, jeszcze wielu innych punktów i budowli miasta, opanowano pałac sztabu generalnego na placu Vendôme i zamieniono go na główną kwaterę powstańców. Tak więc z zapadnięciem wieczoru prawie cała część Paryża po prawym brzegu Sekwany znajdowała się w rękach „czerwonych”.

Tak wielki i szybki wynik walki należało zakończyć uczta. „Krew to całkiem szczególny sok” a „la sainte canaille” chce mieć swoją uciechę. Chrześcijańskiego Boga niema już w naszej wierze, czy niewierze, ale co innego ze starym, złym Molochem—Baalem; temu nie może zbraknąć ofiar.

W istocie nie zbrakło ofiar.

Wzięty do niewoli generał Lecomte, o czem mówiliśmy wyżej, został zaprowadzony do Chateau Rouge, gdzie go strzegł 169 batalion gwardyi narodowej. Rozwścieczony tłum żądał krwi generała. Krzykiem pospólstwa przerażeni kapitanowie dowodzący batalionem, kazali, obawiając się odpowiedzialności, przetransportować więźnia o godzinie trzeciej po południu na ulicę Rosier. Po drodze groziło generałowi znowu niebezpieczeństwo. Otoczyła go mianowicie gromada jego własnych żołnierzy, obrzucając go najstraszliwszymi przezwiskami.

Lecomte bronił się jedyną bronią, jaka pozostaje gentlemanowi wobec motłochu, pogardą.

Tymczasem na ulicach, przytykających do Elysée Mont-Martre, rozgrywa się następująca scena. Zdziaczała banda członków straży obywatelskiej, żołnierzy, kobiet i dzieci, rozprawiając o wypadkach dnia, obrzuca przekleństwami generała Lecomte'a. „On kazał strzelać żołnierzom do ludu, trzy razy kazał strzelać ten lotr!” — wrzeszczy jakaś markietanka. „Dobrze zrobił”, powiada dobitnie wysoki sędziwy starzec, z wyglądu żołnierz, ale czarno ubrany. Pospólstwo odpowiada na tę uwagę gradem przekleństw. Ale niewzruszony tem starzec mówi jeszcze głośniej: „Tak, generał wykonał tylko swoją powinność. Kazano mu ustawić armaty i rozpedzić zbiegowisko, musiał więc ten rozkaz wykonać”. Baba jednym skokiem rzuca się na starego obywatela, przygląda mu się ostro, wygraża mu zaciśniętą pięścią i zwracając się do zgromadzonych, krzyczy: „to Clément Thomas”.

Wyrok śmierci! Już oddawna zwracała się nienawiść tłumu przeciw generałowi Clément Thomas. On to dwa razy był głównym komendantem paryskiej gwardyi narodowej, raz w roku 1848, drugi raz w zimie z 1870—71, a oba razy wykonywał swoją powinność energicznie i uczciwie, nawet przeciw pospólstwu. Teraz pospólstwo było górą. Prawdopodobnie tłum byłby rozszarpał odważnego starca na sztuki, gdyby nie pewien robotnik, który, wyskoczywszy z tłumu w te słowa zawołał do generała: „Ty ważysz się bronić mordercę ludu Lecomte'a? Poczekaj będziesz mu towarzyszyl. Będzie z was piękna parka”. Ogólny poklask spotkał przemówienie robotnika. Banda chwyta starca w środek i wlece go wśród ciągłych gróźb i wyzwisk do małego, tajemniczego domu pod № 6 przy ulicy Rosier. Chwilę przedtem przybył tam generał Lecomte. Clément'a Thomas'a dodano mu jako towarzysza.

Jakie sceny odbywały się tam między godziną 4 a 5, wiemy tylko pobieżnie, niedokładnie; wszystko to było szaleństwem, dzikością, głupotą. Członkowie „komitetu centralnego”, zdaje się, nie byli tam obecni, gdyż w tych samych godzinach mieli posiedzenie w gmachu 18-go okręgu: Z drugiej strony istnieją dane, że członkowie komitetu byli napewno obecni na ulicy de Rosier, i nawet chcieli zachować życie obu generałów i zatrzymać ich w więzieniu jako zakładników. Zgodzimy się nawet na to ostatnie przypuszczenie, że taka chęć istotnie miała miejsce, nie została ona jednak wykonana. Nieszczęsna legenda rewolucyjna zrobiła znowu swoje. Piękna jej opowieść o strasznym roku 1793, z jego przez Lamartine'a ozłoconą gilotyną, domagała się parodii takiego sądu, jaki się odbył we wrześniu roku 1792 po więzieniach paryskich. Postanowiono utworzyć sąd wojenny i postawić przed nim obu generałów. Ci z obecnych tam ludzi, którzy posiadali jeszcze bodaj krzytyńce i wstydu, wzbraniali się od udziału w tym morderczym sądzie. Ale na ulicy wył tłum z coraz większą wściekłością *à „mort! à mort!”* Notoryczny złodziej i drab, imieniem Verdaguer, zajmujący wówczas godność komendanta 91 batalionu i Polak kapitan Kerdański siedli na ławie sędziów. Ale ta smutna komedia, jakkolwiek krótka, za długą wydała się wyjącemu tłumowi. Wpada on do sali, porywa obu generałów i po schodach ściga do małego ogródka.

Tutaj odgrywa się scena mordu.

Jakiś łotr w mundurze oficera straży obywatelskiej chwyta Clémenta Thomas'a—przykłada mu rewolwer do gardła i woła: „Przyznaj się, żeś zdradził Rzeczpospolitą!”

Stary republikanin wstrząsa ramionami i odpowiada pogardą.

„Śmierć mu, śmierć!”—wyje pospółstwo.

Stawiają go pod murem ogrodowym. General wyprostowuje się, krzyżuje ramiona i czeka na mordercze kule.

Jakiś świadek zapamiętał sobie dziwny drobniaczek, że świeżo wyrosła, kwiatami obsypana gałązka drzewa morelowego, stojącego pod murem, zawisła nad generałem, jakby chciała uwieńczyć głowę ofiary.

Gromada umundurowanych i cywilnych ludzi kieruje nabite karabiny w stronę generała. Kula nie trafia, a przebija kapelusze. Clément Thomas zdejmując go i woła: „Jesteście wszyscy tchórze i łotry”. Pada nowy strzał. Zamordowany generał pada na twarz, a trupa jego przebija jeszcze czterdzieści kul.

„Teraz na ciebie kolej!”—wołano do generała Lecomte'a.

Zdecydowany, staje Lecomte pod murem. Pewien zbiegły żołnierz wyskakując z tłumu i wyciągając ku niemu pięści krzyczy: „Skazałeś mnie na trzydzieści dni aresztu. Za to otrzymasz pierwszy strzał odemnie”.

Zakomenderowano „ognia!” Tym razem salwa była lepiej wycelowana i generał trafiony w serce upadł na ziemię.

„*Vive la république!*”—ryczy tłum podobnie jak ich dziadkowie i babki krzyczeli w roku 1793. Lud nie może się pozbyć prastarej wiary, że wszystko nowe i wielkie musi przyjąć krwawy chrzest. Wiara ta jest głęboko uzasadniona, jak uczy historia świata. Ale historyk mówi jeszcze, że człowiek zawsze ideę postępu chrzczył nie swoją, ale cudzą krwią.

Po dokonanych mordzie ukazał się na krwawej trybunie mer 18-go okręgu obywatel Clemenceau opasany szarfą urzędnika. Mówił on, że prędzej nie mógł przyjść, bo był gdzieś indziej bardzo zajęty. Także komitet centralny był gdzieś indziej zabardzo zajęty, ażeby się mógł trapić o taką bagatelkę jak zamordowanie dwóch niepopularnych ge-

nerałów. Także i komendant straży obywatelskiej z Mont-Martre, obywatel Bergeret, był również zajęty gdzieindziej w tym czasie, a mianowicie w hotelu de Ville, gdzie pilnował podziału zdobyczy i urzędów rewolucyj.

Do hotelu de Ville przeniósł się wieczorem dnia 18-go marca centralny komitet a jego członkowie, którzy jeszcze dziś rano byli tajnymi spiskowcami, stali się obecnie jawnymi i wszechwładnymi panami Paryża.

Przez całą historję czerwonego kwartału z roku 1871 idzie rys prawdziwie rablais'owskiego cynizmu. Zaznaczył się też on podczas instalacji komitetu centralnego w hotelu de Ville. Obywatel Assi, przewodniczący nowego rządu w ratuszu przyjemnie zdziwiony, że bez przeszkody dostał się do głównej kwatery rewolucyj, miał zawołać: „Nie potrzebowaliśmy ostrzeliwać bram hotelu de Ville, „same się przed nami otworzyły!”

Wesoło było tej nocy w knajpach paryskich na prawym brzegu Sekwany. „Lud” Paryża rozpływał się w poczuciu swej dumy, że znowu urządził rewolucyę, a przerażeni filistrzy pakowali swoje kufry, zamiast chwycić za broń.

11.

Jak błękitni demonstrują — a czerwoni reagują.

Zbytecznem byłoby wliczać wszystkie próby pojednania, do którego usiłowali doprowadzić przez tę noc z jednej strony członkowie rządu, Favre i Picard, z drugiej umiarkowani demokraci, jak Tolain, Langlois i Locroy. Wszystkie te próby rozbiły się i rozbić się musiały, gdyż nie wzięto się do nich odrazu z odpowiednią powagą i gorliwością. Thiers bowiem, jako głowa rządu, objawszy okiem cały ogrom katastrofy, prawdopodobnie powziął raz na zawsze postanowienie, które on sam albo inni za niego sformułowali w następującem zdaniu: „Paryż nas opuścił, opuścmy i my Paryż.” Powstańcy zaś, usadowiwszy się mocno w hotelu de Ville, pokazali swoją prawdziwą naturę, nietylko z szyderstwem odrzucając przyzwolenie rządowe na przedsięwzięcie wyborów municypalnych, ale i oświadczając, że nie uznają więcej autorytetu Thiers'a, a sprawy wyborcze w Paryżu sami załatwią.

Po tem, co zaszło, minister Picard uważał za rzecz najlepszą przewieźć koleją cały aparat rządo-



wy do Wersalu. Czyniąc to, uratował kasy rządowe, akta, registry i materiały wszelkiego rodzaju, jednym słowem wszystko, co dało się zebrać i odebrać wraz z personelem urzędniczym różnych ministerów i innych władz. Nie udało mu się jednak spakować i przewieźć francuskiego Banku Państwa. Czas był za krótki. Wieczorem, dnia 19 marca rząd wycofał się w zupełności ze stolicy Francji. Pocieszającym epizodem w smutnej historii tego cofania się była nieugięta postawa wojska 43-go i 69-go pułku, które dopiero 20-go marca wymaszerowały z luksemburskiego pałacu przez bramę Maillota do Wersalu. Na żądanie centralnego komitetu, aby złożyli broń, dali żołnierze tych pułków odpowiedź: „Przyjdźcie i weźcie!” Nikt jednak z nowych panów Paryża nie przyjął zaproszenia.

W Paryżu znajdowały się jeszcze pewne środki obrony, ale nie wystarczające. Rządowa odezwa skierowana do gwardii narodowej tuż przed opuszczeniem miasta przebrzmiała bez echa. Między innymi mówiło się tam, co następuje: „kto są ci ludzie z centralnego komitetu? Nikt ich nie zna, nazwiska ich są nowe; nikt nie wie do jakiej należą partyi. Czy są oni komunistami, bonapartystami, czy Prusakami? Czy są to agenci potrójnej koalicji? W każdym bądź razie są to nieprzyjaciele Paryża, który wydają na rabunek, nieprzyjaciele Francji, ponieważ ją wydają Prusakom, nieprzyjaciele Republiki, którą wydają na łup despotyzmu. Ludzie ci dopuścili się przestępstw tak strasznych, że niczem nie można uniewinnić tych, którzy idą z nimi ręką w rękę, lub bodaj im ulegają. Chcecie wziąć na siebie odpowiedzialność za mordercze postępkę i za ruiny, które oni zamierzają po sobie zostawić. W takim wypadku zostańcie spokojnie w domu. Na waszą cześć, na wszystkie wasze świętości zaklinamy was, stańcie przy rządzie republikańskim i zgromadzeniu narodowym!”

Lecz oni zostali w domu, ci panowie filistrzy

z Paryża. Oni zawsze i wszędzie zostają spokojnie w domu w dniu krytycznym, ci panowie filistrzy z Europy, i pozostaną spokojnie w domu w dniu rozstrzygającym, gdy będzie kiedyś obwołaną kolumna w całej Europie.

W niektórych dzielnicach Paryża dnia 19-go marca nietylko nie troszczono się o to, co stało się dnia poprzedniego, lecz nie wiedzano o tem nawet nic określonego. Catulle Mendès spotkał się w środku miasta z pewnym znajomym i zapytał go: „co słyhać nowego?”

— Nowego? Czyż mógłbym niewiedzieć gdyby się coś stało? Ale czekajno pan! Mówią, że wczoraj działo się coś na Montmartre.”

Słusznie, coś się działo, coś, co miało się skończyć dla lekkomyślnych Paryżan drugim oblężeniem Paryża. Około południa dowiedzieli się także komu odtąd mają ulegać i co mają czynić. Znajdą się przecież zawsze tacy, którzy uważają za swój obowiązek informować swoich bliźnich.

Czerwona republika ogłosiła się białymi plakatami, z których jedne zwracały się do obywateli wogóle, drugie zaś w szczególności do straży obywatelskiej. Jeden plakat brzmiał jak następuje: „Francuska Republika. Wolność, równość, braterstwo! Obywatele! Lud Paryża strząsnął z siebie jarzmo, które mu chciano narzucić.” — Jak można coś zrzucić, co nie zostało nałożone? Logika i praca należały i należą zawsze u podobnych panów do rzeczy najbardziej znieawidzonych. — Spokojnie i niewzruszony w świadomości swojej siły czekał lud cierpliwie i bez trwogi ataku bezwstydnym głupców, którzy chcieli zawładnąć republiką. — Jakżeż to? Czyż można nazwać republiką armaty, które rząd, jako należące do całej Francji, chciał odebrać sekcje powstańczej? Napewno nie, ale przecież w obwieszczeniach dla ludu nie zważa się, jak wiadomo, na mniej lub więcej głupie kłamstwa.

— Tym razem bracia nasi z armii z oburzeniem odmówili znieważania naszych wolności. Dzięki im wszystkim! Oby Paryż i Francja podały sobie teraz wspólnie ręce do ufundowania mocnych podstaw dla prawdziwej Republiki, jako jedynej formy państwa, która może położyć kres raz na zawsze epoce nieprzyjacielskich napadów i wojen domowych.” — Prawić bajki o zaprzestanie wojny domowej w chwili, kiedy się właśnie zaczyna, jest obłudą, na którąby się nawet mnichy nie zdobyły. — „Stan oblężenia zniesiony—na jak długo? — W krótkim czasie zwołamy ludność Paryża do przedsięwzięcia wyborów gminnych. Gwarantuje się obronę i bezpieczeństwo wszystkim obywatelom przez straż obywatelską.”—Poznamy to bezpieczeństwo i obronę. — „Hotel de Ville w Paryżu 19-go marca 1871. Komitet centralny federacyjnej gwardyi narodowej: Assi, Billioray, Ferrat, Babick, Moreau, Dupont, Varlin, Boursier, Mortier, Gouhier, Laavlette, Jourde, Rousseau, Lullier, Blauchet, Groslard, Barroud, Geresme, Fabre, Pougeret.”<sup>1)</sup>

W innej proklamacji uwiadamiają wyżej wspomniani obywatele gwardyi narodowej, że centralny komitet, organizując obronę Paryża i praw ludowych, spełnił swoją „misję” i wypędził rząd, „który nas zdradził.” W trzecim białym plakacie byli wiele-możni panowie z centralnego komitetu łaskawi naznaczyć wybory komuny dla Paryża na dzień 22 marca.

Będziemy więc mieli wyzwalającą i uszczęśliwiającą świat zbawczynię: komunę. Nasz poczciwy komitet centralny da nam w przeciagu trzech dni

<sup>1)</sup> Późniejsze ogłoszenia komitetu centralnego nosiły także nazwiska: Arnaud, Arnold, Bonet, Fortuné i Viard. Później spotykają się także następujące imiona: Avoine, Castioni, Grelier, Josselin, Lisbonne, Maljournal. Są to wcześniejsi lub późniejsi członkowie komitetu centralnego.

to, czego nam „zdradziecki rząd” nie dał od szczęściu miesięcy.

Takie było powszechne mniemanie w Montmartre, Villette, Bellevile. A pozostała część Paryża? Siedziała cicho i pozwalała robić ze sobą co się komu żywnie podoba. Tysiące ludzi stawało przed plakatami rozlepionymi po ulicach, odczytywało treść i podpisy i odchodząc obojętnie, zadawało się pytaniem: „kto są ci ludzie?”

Ludzie ci byli, w całym tego słowa znaczeniu, *viri obscuri*, ale w czerwone szarfy ubrani wydawali rozkazy i znajdowali posłuch. Rozkazów tych słuchali nie tylko rzemieślnicy, ale ze szczególną gorliwością episierzy paryscy i drobni majstrowie. Rozporządzenie rządu, ażeby wyplacono natychmiast wszystkie weksle przetrzymane podczas stanu oblężenia wzbudziło w tych klasach wielkie i słusne oburzenie. Również surowy rozkaz rządu, aby wyrównać natychmiast zaległości czynszowe za czas trwania stanu oblężenia ogłosił przedewszystkiem w tak zwaną drobną burżuazję. Stan średni bowiem w Paryżu najbardziej ucierpiał od wrzenia 1870 roku i dlatego rząd powinien byłby koniecznie przedłużyć terminy wypełnienia zobowiązań.

Wogóle trzeba przyznać, że rząd francuski miał i przed i po rewolucji złych doradców. Dowodzi tego także i sposób przeprowadzania układów z centralnym komitetem, jakiego używali merowie i deputowani Paryża do zgromadzenia narodowego. Dalszym dowodem jest zamianowanie admirała Laisset'a głównym komendantem paryskiej gwardyi narodowej. Admirał Laisset okazał się niezdolny do zrozumienia sytuacji, a tembardziej nie potrafił jej opanować. Dobry marynarz myślał, że ma do czynienia z podochoconymi, ale w gruncie rzeczy dobrodusznymi majtkami i w tem leżała pomyłka. Musiało się więc to wszystko skończyć fiaskiem.

Powoli zorientowały się w sytuacji klasy po-

siadające. Posłano do Thiersa, do Wersalu deputacyę z prośbą o przysłanie oficerów, armat i amunicyi dla 30,000 gwardyi narodowej środkowych i zachodnich dzielnic Paryża. Wojsko to osaczyło już osiem okręgów i gotowe jest do działań zaczepnych przeciw powstańcom. Thiers odpowiedział, że im nie może pomóc, radząc, aby natychmiast z dziećmi i dobytkiem opuszczali Paryż. Z tego należy wnioskować, iż rząd zdecydował się pozwolić na to, aby wrzód dojrzał i nie uciekając się do pośredników, przeciąć go i wypalić. Tak też istotnie później uczyniono, choćby jednak mógł myśleć, że kuracja ogniem i mieczem może poskutkować. Był to środek tymczasowy. Rak powróci. Choroba tkwi przecież we krwi społeczeństwa.

Co się tyczy panów obywateli z ratusza, to mogło im być tylko na rękę zwodzenie rządu pertraktacyami pokojowymi tak długo, aż swoje siły gruntownie umocnią. Skoro się to stało zerwali układy z rządem.

Dnia 21 i 22 marca zorganizowała swoje siły „partya porządku” celem urzędzenia pokojowej demonstracyi, która dobrze pomyślana, miała jednak pociągnąć za sobą fatalne skutki. Pierwszego, z wyżej wymienionych dni zebrała się o godzinie wpół do drugiej na placu przed nową operą garstka, złożona z dwudziestu mężczyzn. Na czele demonstrującej grupy szedł jakiś żołnierz pułku liniowego, niosąc chorągiew z napisem „*Union des amis de l'ordre*”. Im dalej pochód posuwał się przez rozmaite ulice i dzielnice, coraz bardziej wzrastała ilość biorących udział w procesyi przyjaciół porządku. Wzdłuż całych bulwarów przyjmowano ich ze wszech stron okrzykami z okien: „Niech żyje porządek! Wiwat zgromadzenie narodowe! Precz z komuną!” Partya porządku nigdzie nie spotkała oporu. Nawet tu i owdzie prezentowały przed nią broń niektóre oddziały gwardyi narodowej. Tak naprzykład, przy ulicy Drouot i przy ulicy de la Paix. Demonstrantom

nie wzbraniano przystępu nawet do placu Vendôme, który wtedy był przepelniony batalionami sfederowanymi. Gdy przechodzili popod oknami budynku generalnego sztabu wystąpił na balkon jakiś młody człowiek, przystrojony czerwoną szarfą i zawołał w stronę demonstrantów: „Obywatele! w imieniu centralnego komitetu“... „W tej chwili jednak“— donosi pewien uczestnik demonstracyi partyi porządku— „w tej chwili jednak, przyjęto go z naszej strony hałaśliwym gwizdaniem i okrzykami: „Niech żyje porządek! Niech żyje zgromadzenie narodowe! Niech żyje Rzeczpospolita“! Mimo to wszystko ani nie zostaliśmy przez wojsko zaatakowani, ani nawet zagrożeni. Obszedłszy kolumnę Napoleona maszerowaliśmy znowu wzdłuż bulwarów w kierunku placu Zgody“. Procesya wróciła ostatecznie do punktu, z którego wyszła, to jest do placu Opery. Obecnie demonstracya składała się z czterech tysięcy ludzi. Przed rozejściem demonstranci umówili się, ażeby dnia następnego zejść się znowu celem demonstrowania, które im się dzisiaj tak dobrze powiodło.

Umowy dotrzymano i dnia 22 marca zgromadził się o oznaczonej godzinie wielki tłum, nie uzbrojony wprawdzie, ale częściowo ubrany w unformy gwardyi narodowej przyjaciół porządku. Wedle pewnych danych tłum, zebrany na placu przed gmachem nowej opery, liczył nie mniej, niż dziesięć tysięcy ludzi, a w każdym razie dobrych kilka tysięcy. Wśród okrzyków, które i wczoraj wznoszono, dawał się słyszeć także i następujący: „Trzeba od komitetu centralnego zażądać z powrotem uzurpowanej przez niego władzy i odebrać mu ją“. Ten okrzyk wskazywał otwarcie na to, że nie wszyscy uczestnicy pochodu mają zamiar jedynie li tylko pokojowo demonstrować. Również nie można z całą pewnością twierdzić, że nikt z demonstrantów nie był uzbrojony. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że kilku z pomiędzy przyjaciół porządku musiało być uzbrojonych w rewolwery i laski opatrzone sztyletami.

Jest rzeczą zupełnie możliwą, że żadna z obu partyi ani nie przewidywała gwałtownego starcia, ani też chciała lub planowała coś podobnego. Niemniej jednak również jest rzeczą możliwą, że z obu stron życzone sobie starcia. Obu bowiem mogło się zupełnie dobrze wydawać, że w ich interesie leży sprowadzenie konfliktu. Pojedyncze przynajmniej osoby z jednej i drugiej strony mogły w ten sposób na rzeczy patrzeć. Zupełnej jednak ścisłości co do faktycznego stanu rzeczy nie uda nam się prawdopodobnie nigdy osiągnąć.

Na czele pochodu, w którym znajdował się także admirał Saisset niesiono trójbarwny sztandar. W pochodzie widać obok uniformu straży obywatelskiej, mundury pułków liniowych i marynarki, wiele fraków i paltotów, ale żadnej bluzy robotniczej. Jako umówiony znak przypinali sobie zwolennicy porządku do klapy od surduta błękitną wstążkę. Pochód przeciągał najpierw ulicą Neuve St.-Augustin, później ulicą de la Paix. Procesja zatrzymała się u wejścia na plac Vendôme, gdzie zatoczono armaty a sfederowanych ustawiono pod bronią.

Gdybyśmy mieli wierzyć księdzu Lamazon, który opowiedział swoje przeżycia z czasów komuny paryskiej, to odpowiedzialność za to, co się stało, spadłaby w zupełności na czerwonych. Posłuchajmy jednak słów tego naocznego świadka, po pierwsze dlatego, że jego książka pod tytułem *La place Vendôme et la Raquette* (12 wyd. 1873) znalazła we Francji ogromny rozgłos, po drugie zaś, że warto posłuchać zdania o tym fakcie świadka, należącego do przeciwnego obozu. „U wejścia na plac Vendôme kolumna demonstrantów, powiększona przez mieszkańców dzielnic, natknęła się na zbuntowany pułk, stojący pod dowództwem Bergeret'a. Ten ostatni kazał swoim żołnierzom uszykować się jak do bitwy i nałożyć bagnety. W kilka chwil później mogłem zauważyć na własne oczy, że żołnierze tego pułku byli niemal wszyscy podeszłego wieku. Pijani i ober-

wani przedstawiali się oni jak zdziczałe indywidua, które rewolucya wyrzuca na ulicę. Widziałem między nimi niemało takich starców, którzy wskutek lenistwa i występku zniszczeni nic już więcej nie mają do stracenia a wskutek tego są najodpowiedniejszymi rekrutami dla każdej rewolucyi, bez względu na to z kąd ona idzie: z dołu czy z góry. Demonstranci partyi porządku zaczęli powiewać chustkami i głośno objaśniać, że mają tylko pokojowe zamiary. W chwili jednak, kiedy kilku żołnierzy zwróciło swoje karabiny kolbami do góry, aby się zbratać ze zdrową częścią mieszkańców Paryża, rozkazał Bergeret uderzyć w bębny i przyjął groźną postawę. W tej chwili padł strzał na trójbarwną chorągiew niesioną na czele pochodu i w tymże niemal momencie rozległa się w kierunku przyjaciół porządku mordercza salwa, zmuszając ich do ucieczki na wszystkie strony. Mordercy tak byli podnieceni, a niektórzy z nich tak przerażeni, że strzelali w plecy kolegów, stojących przed nimi. Po nad wszelką wątpliwość jest pewnem, że z szeregów pochodu ani razu nie strzelono z karabinu albo rewolweru”.

Tylko nie z taką pewnością, szanowny autorze! w podobnych wypadkach stanie się zawsze coś takiego, co się nie powinno było stać. Gdy w człowieku obudzi się zwierzę i pocznie szarpać łańcuch, na którym jest przywiązane, natychmiast przyjdzie mu z pomocą ten złośliwy demon historii ludzkiej— przypadek. On to płata swoje okrutne figle, które przyzwyczailiśmy się nazywać nieporozumieniami. Takie to nieporozumienie, taki dyabelski figiel, jaki ów demon zrobił np. 23 stycznia 1848 roku, o dziewiątej godzinie wieczorem, przed hotelem Kapucynów w Paryżu, albo 18 marca tegoż roku na placu pałacowym w Berlinie, podobne nieporozumienie, jak się zdaje, spowodował on też na placu Vendôme w Paryżu, dnia 22 marca 1871 r. W takich godzinach okazuje się bardzo mądrą przestroga: „Nie

baw się bronią". W takich wypadkach bowiem broń ma niepowściągliwą skłonność do strzelania.

Błękitni więc — odtąd tak będą nazywał zwolenników paryskiej partii porządku oraz przedstawicieli legalnego rządu, którzy na siedzibę obrali sobie Wersal — przeciągnęli ulicą de la Paix w kierunku placu Vendôme. Przybywszy tam ujrzeni na przeciw siebie czerwonych, uszykowanych pod dowództwem obywatela Bergeret, który im zamknął drogę do placu. Z pomiędzy zgromadzonych błękitnych rozpoczęto wznosić okrzyki: Niech żyje Francya! Niech żyje porządek! — Ale między innymi dawały się też słyszeć głosy: Precz z centralnym komitetem! Precz z mordercami! Dłaczegóż między zwolennikami partii porządku nie miaoby się znaleźć kilku, a może nawet więcej krzykaczy, myślących, że jeżeli już się raz demonstruje, to można i trzeba czerwonych przedemonstrować, ogłuszyć, na śmierć zakrzyzczyć? Może być, że demonstranci nie żądali niczego więcej nadto, ażeby im pozwolono swobodnie przejść, ale wszystko to razem wzięwszy wydaje się być rzeczą pewną, że po pierwsze: żądanie to przyjęło formę groźną ze strony błękitnych, a po wtóre: że czerwoni już od początku byli zdecydowani nie pozwolić błękitnym wejść na plac Vendôme. Obywatel komendant na placu Vendôme rozkazał wskutek tego swoim ludziom sformować kwadrat, naładować karabiny, założyć bagnety i w ten sposób zamknął żyjącą barykadą wejście od ulicy Pokoju.

Teraz pada strzał, tak prosty i zrozumiały w podobnych okolicznościach. Kto wystrzelił pierwszy? Naturalnie czerwony, mówią błękitni. Na to odpowiadają czerwoni: „Pierwszy strzał, strzał pistoletowy padł z szeregów błękitnych i zranił w udo obywatela Maljournal, członka naszego komitetu centralnego. O tem może zaświadczyć najlepiej sławny generał amerykański Sheridan, solidny i kompetentny w tym wypadku świadek, który w danej

chwili znajdował się w jednym z okien ulicy de la Paix i obserwował wypadek powyższy." A co mówi generał?

Generał powiada „Tak jest” — ale zaraz dodaje: „Jakżeż ci nędznicy zbezczeszczają swoją ojczyznę!” a nędznikami nazywa czerwonych, którzy na wyzywający a bezmyślny strzał ze strony błękitnych — jeżeli taki wogóle miał miejsce — odpowiadają morderczą salwą z karabinów. Wprawdzie twierdzą oni, jakoby błękitni chcieli się na plac wdrzeć siłą i że wówczas dano najpierw znak ostrzegający za pomocą bębnow, a gdy demonstranci na sygnał nie zwrócili uwagi zakomenderowano ognia. Jakkolwiek bądź było, faktem jest jedno, że dano komendę do strzelania i że salwa padła w zbite szeregi błękitnych zanim jeszcze było można zauważyć sygnał i usunąć się na bok.

Skutek tej salwy, która rozpoczęła wojnę domową był taki, jaki być musiał. Demonstracya błękitnych rozbiegła się na wszystkie strony. Mnóstwo rannych rozniosło przerażenie w sąsiednie dzielnice. Dwudziestu zabitych, między którymi znajdował się jakiś pułkownik, oficer, książę, bankier, agent bankowy, inżynier, czerwieniło krwią swoją bruki miasta. Sami czerwoni przerazili się tem, co się stało. W każdym razie jest rzeczą dowiedzioną, że oficerowie nie pozwolili żołnierzom więcej strzelać. I oni zresztą mieli dwa trupy i ośmiu rannych. Jak to należy rozumieć? Czy po salwie ze strony czerwonych odpowiedziano także strzałami ze strony błękitnych? Czy może należy przyjąć powyżej przytoczone twierdzenie księdza Lamazon, że czerwoni w zamieszaniu strzelali do swoich towarzyszy?

Pewnem jest tylko, że panowie obywatele z komitetu centralnego przyklasnęli temu, co się stało na placu Vendôme i wydali dwie następujące uchwały. Po pierwsze, że oficerowie dowodzący na placu Vendôme „położyli zasługi względem ojczyzny,” a po drugie, że nadal nie wolno już błękitnym urzą-

dzać demonstracji. Musi bowiem panować wolność, to znaczy, każdy musi być wolnym na naszą modłę.

Począwszy od wieczora dnia 22 marca i strzelaniny na placu Vendôme chwycili czerwoni w istocie rzeczy władzę nad Paryżem w swoje ręce i podali go pod rządy — centralnego komitetu. Niezrozumiale to brzmi, że teraz jeszcze nawet wierzył admirał Saisset w możliwość pokojowego załatwienia konfliktu i prowadził rokowania z obywatelami z ratusza. Nawet rankiem dnia 24 marca rozkazał on, nie mając jednak uppełnomocnienia do tego ze strony rządu, rozlepić proklamacye, w których obiecywał następujące ustępstwa ze strony rządu i zgromadzenia narodowego: „Zupełne uznanie wolności gminy, wybór oficerów wszystkich stopni przez samą gwardyę narodową, zmianę prawa bankowego złagodzenie prawa dotyczącego wynajmu mieszkań.”

Bierna część mieszkańców stolicy radośnie przyjęła tę proklamacyę, która zresztą nie była niczem innym, jak tylko obłudą wypływającą z dobrych chęci. W ratuszu wyśmiewano się z odezwy. „Błękitni są głupi i słabi,” sądził obywatel Assi. Tymczasowo uważano jeszcze za rzecz wskazaną grać przez 24 godzin komedye układów, w której brali udział deputowani Paryża, merowie i ich urzędnicy. Wszyscy panowie wchodzący w skład komisji ze strony błękitnych byli w istocie rzeczy „tak głupi jak i słabi.” Nie zauważyli oni wcale tego, że kierownikom rewolucyi ogromnie na tem zależało, aby przeprowadzić wybory do komuny jako życzenie i czyn wszystkich mieszkańców Paryża. Dlatego też zgadzali się na wszystkie żądania komitetu centralnego, zdążające do tego celu. W ten sposób przyszło do porozumienia w tym duchu, ażeby na niedzielę dnia 26 marca od godziny 8 do godziny 12 w nocy ogłosić wybory do komuny.

W ten sposób osiągnęli obywatele z ratusza to, czego chcieli. Poczciwy admirał Saisset posu-

nał swoje dzieciństwo tak daleko, że po tak dokonanym czynie, wyprowadził do Wersalu bataljony straży obywatelskiej, które jeszcze do dnia 25 marca znajdowały się w Paryżu pod jego komendą, głęboko a radośnie przeświadczony o tem, że mu się udało zgnieść wojnę domową w samym zarodku.

W jaki sposób go tam przyjęto i jak podczas tego przyjęcia wykrzywiła mu się twarz, nic o tem niewiadomo.

W hotelu de Ville tego wieczora byli wszyscy przeświadczeni o zwycięstwie. Błękitni okazali się głupimi i słabymi, a czerwoni chytrymi i mądrymi. Tłumy zaś, jak wiadomo, idą wszędzie i po wszystkie czasy tam, gdzie widzą większą siłę.

## III.

## Mamy wreszcie komunę!

„*Aux urnes!*” brzmiało dnia 26 marca hasło Paryżan. Na wszystkich ścianach wisiały czerwone plakaty; sławiące cnoty wszystkich kandydatów do komuny.

Piękna to była niedziela, to też Paryżanie wypełniali swój obowiązek wyborczy w blaskach gorącego słońca tak, jak każdą inną rozrywkę niedzielną. Wszystko śmiało się wesoło i zadowolone. Czerwień panująca nad Paryżem nie była dnia tego wcale ponura, ale mieniła się naprzemian blaskami róż i purpurowych promieni słońca. I cóż nas obchodzi „niemieccy barbarzyńcy” ze zdziwieniem patrzący na tę „latarnię świata” z północnych i wschodnich fortów Paryża? Nic. I na cóż mamy się trapić panem Thiers'em i jego adherentami siedzącymi w Wersalu? Jeszcze mniej niż nic. Albowiem my jesteśmy suwerenami świata, my, synowie słońca świata Paryża; chcemy dzisiaj raz jeszcze wprawić w zdumienie cały glob ziemski, pokazując mu jak to się w życie wprowadza komunę *comme il faut*. Nadszedł już wreszcie czas, ażeby nasza po trzy-

kroć święta trójca „*Liberté, Egalité, Fraternité*” w całym swoim blasku i prawdzie zapanowała na ziemi. Albowiem tak to przepowiedział i zdecydował obywatel Jules Allix na jednym posiedzeniu w Belleville: „wolnym musi być każdy, a nikt nie powinien nikogo słuchać. Nawet dziecko musi być wolne, począwszy od urodzenia i nikomu nie jest winne posłuszeństwa, nawet swoim rodzicom.”

Aby te, i tym podobne, zasady wprowadzić w czyn wybieramy więc dzisiaj naszą przesławną komunę..

Trzeba to przyznać, że wszystko szło we wzorowym porządku. Paryżanie, zdaje się, wogóle chcieli pokazać, że umieją rządzić się anarchicznie z całym powabem i, że tak powiem, nawet z elegancją. Ale co to znaczy anarchicznie? Rząd musi w każdym razie istnieć. Zrzuciliśmy tylko „tyrana” w jednej osobie: Thiers'a, aby nad nami zapanował tyran siedemdziesięcio albo nawet dziewięćdziesięciogłowy. *Variatio delectat mulieres virosque.* (Zmiana cieszy kobiety i mężczyzn).

Z godnością maszerują członkowie straży obywatelskiej dużemi i małemi grupami do lokalów wyborczych, kiedy lepsze ich połowy udają się na msze do rozmaitych kościołów; Paryżanka bowiem z szanującego się stanu średniego zawsze pozostaje katoliczką. Panowie obywatele z ratusza rozsyłają swych posłów do wszystkich dzielnic miasta, a że niema koni dla ich adjutantów, słychać po wszystkich ulicach szum i skrzyp welocepedów, które im zastępują rumaki. Kto by sobie dnia tego po południu zadał trud wdrapać się na wielką barykadę wzniesioną dnia 19 marca, celem zamknięcia placu przed ratuszem w kierunku ulicy Rivoli, mógłby z tego punktu obserwacyjnego zobaczyć wesoły i rozgłośny ścisk i ruch na placu. Około 20,000 członków straży obywatelskiej zebrało się tutaj wśród hucznych koncertów orkiestr najrozmaitszych batalionów. Czerwone koszule i bluzy robotnicze

flirtują z damami mniej lub więcej wątpliwej konduity. Żuawi, Turcy tańczą z markietankami wśród armat i baterii, których paszcze patrzą w kierunku ujęć wszystkich ulic.

Członków „Conseil municipal“ — którą to nazwę przypięto komunie już przed tem, niby li-stek figury — miało być 90. Zapisanych zaś wy-borców było 490,000. Mniej niż połowa wyborców, nie wzięła udziału w wyborach, zgadzając się na protest, jaki dnia 19 marca wydrukowało 35 dzien-ników paryskich przeciwko ważności wyborów, w ten sposób przeprowadzonych. Protest ten wywołał ze strony członków komitetu centralnego oburzonych jego treścią odpowiedź w „*Journal officiel*.“ Odpo-wiedź ta była raczej groźnem oświadczeniem, które, krótko mówiąc, brzmiało w ten sposób, że oni, to jest członkowie komitetu centralnego, będą uznawali wolność prasy, ale tylko tak długo, jak długo prasa będzie ich popierała. Do urn przystąpiło tylko 277,300 wyborców, którzy wybrali do komuny na-stępujących obywateli (wyliczymy ich w porządku, podług okręgów Paryża).

1) Adam, Barré, Méline, Rochard; 2) Brelay, Chéron, Loiseau-Pinson, Tirard; 3) Arnaud, Demay, Dupont, Murat, Pinely; 4) Amouroux, Arnould, Clé-mence, Gérardin, Lefrançais; 5) Blanchet, Jourde, Ledroit, Regère, Tridon; 6) Beslay, Goupil, Leroy, Robinet, Varlin; 7) Brunel, Lefèvre, Parisel, Urbain, 8) Allix, Arnould, Rigault, Vaillant; 9) Desmarest, Ferry, Nast, Parent, Ranc; 10) Babeck, Champy, Fortuné, Gambon, Prat, Rastoul; 11) Assi, Avreau, Delescluze, Cudes, Mortier, Protot; 12) Fruneau, Geresme, Theiss, Varlin; 13) Chardon, Duval, Frän-ckel, Maillot; 14) Billioray, Decamp, Martelet; 15) Clément, Langevin, Vallès; 16) Bouteiller, Mar-mottan; 17) Chalain, Clément, Gerardin, Malon, Varlin; 18) Blanqui, J. B. Clément, Deréure, Ferré, Grosset, Theiss, Vermorel; 19) Buget, Courent,

Deléscluze, Miot, Ostyn, Oudet; 20) Bergeret, Blan-qui, Flourens, Ranvier.

Mimo podwójnych wyborów, nigdy liczba człon-ków komuny nie była istotnie zupełną. Należy również dodać, że nie wszyscy wybrani godzili się z kierunkiem komuny. Obok wszystkich wybranych z okręgów 1, 2, 9, szesnastu innych wzbraniało się przyjąć wybór. Również z kilku innych okręgów panowie Fruneau, Goupil, Lefèvre, Leroy, Murat i Robinet nie przyjęli mandatów. Dnia 16 kwietnia odbyły się wybory uzupełniające, w których jednak-że brała udział tylko osma część uprawionych do głosowania. Z pomiędzy wybranych należy wymie-nić Clusereta, Courbeta, Garibaldiego (Menotti) i Vesi-niera. Inni, jak Briosne i Rogeard, nie przyjęli ofiarowanego im mandatu. W trzech okręgach nie przyszły wybory wcale do skutku z powodu zbyt małego udziału wyborców. Nigdy więc komuna od początku swego istnienia aż do końca nie była kom-pletna; nigdy nie reprezentowała ona wszystkich dzielnic albo nawet wszystkich klas mieszkańców Paryża. Zdarzało się, że między czerwonych człon-ków komuny wcisnął się tu i owdzie błękitny albo przynajmniej czerwono-błękitny, jak np. obywatel Beslay i dzielny czeladnik malarski V. Clément, lecz mniejsza lub większa błękitność nic poradzić nie mogła wobec panującej tryumfalnie czerwieni.

Weczesnym rankiem dnia 26 marca ogłosił kom-itet centralny za pomocą proklamacyi, datowanej z dnia poprzedniego, że się rozwiązuje. Ale było to powiedziane tak sobie, gdyż po rozwiązaniu oficjalnego komitetu pozostał tajny, który pod prze-wodnictwem Assi, rządził lub conajmniej współ-rządził z komuną.

28 marca ogłoszono na placu ratuszowym wśród wielkiej radości „Saturna regna“ komuny. Ciepłe wiosenne słońce ujrzało znowu jedna z owych pary-skich stołecznych i państwowych spektaklów, któ-rych już tyle na tym samym miejscu widziano. Sta-



ło tu sto, albo nawet dwieście bataljonów uszykowanych, jak podczas parady. Przed frontonem olbrzymiego pałacu państwa została ustawiona o desek wielka trybuna. Na niej siedzieli członkowie dawnego komitetu centralnego oraz członkowie komuny, mającej wzięść władzę w swoją rękę, przystrojeni czerwonymi szarfami. Po nad trybuną wznosiła się gipsowa statua republiki z biodrami obwiązana czerwonym pasem, z czerwoną frygijską czapką na głowie. Posąg Henryka czwartego wraz z jego spiżowym koniem zasłonięto hiszpańską ścianą z czerwonych chorągwi, ażeby nie obrażać oczu obywateli i obywaterek, republikanów i republikanek widokiem „tyrana.” Właściwa ceremonia, to znaczy oddanie władzy ze strony komitetu centralnego w ręce komuny, uszło niemal uwagi widzów, w tej powodzi barw, promieni słonecznych i błyszczącej broni i w rozgwarze tłumu, składającego się z setek tysięcy ludzi. Na estradzie wzniesiono okrzyk *Vive la republique!* na co odpowiedziano z placu okrzykiem *Vive la commune!* Po nad głowami ludzkiemi zafalowało morze bagnetów, szabel, kapeluszy, czapek i chusteczek. Wszystkie orkiestry zaintonowały marsyljanekę; wszyscy obecni mężczyźni, kobiety, dzieci wpadły śpiewem we wzruszającą melodyę starej, czarującej pieśni, a bateria wystawiona na brzegu Sekwany zagrzmiała w takt wznoszącego się hymnu.

Cały szereg świadków, którzy tę scenę widzieli na własne oczy, powiada, że moment był bardzo wzruszający i że w chwili tej lud paryski ukazał się jeszcze raz w całym blasku swojej niezrównanej uprzejmości.

Bez wątpienia. Ale przy tem wszystkim nasuwa się zaraz wrażenie, że już uroczysty początek panowania komuny niejako sygnalizował, symbolizował tę pustkę ducha, brak idei i ubóstwo myśli całego ruchu. W niczem nie umieli ci panowie z komuny wprowadzić jakiegóś oryginalnego pomysłu

w chwili swej intronizacji. Całe widowisko z dnia 28 marca musi się znawcy historii rewolucyi przedstawiać jako plagiat podobnego spektaklu, który w roku 1793 zainscenizował malarz Dawid, „najwyższy mistrz ceremonii grozy.” Obecnie użyto tylko więcej czerwieni a znacznie mniej sztuki oratorskiej. Nie brakowało jednak wcale frazeologii i długich tyrad. Mimo to mówił wieczorem dnia tego komitet centralny, który niby to rozwiązał się, w obwieszczeniu do mieszkańców Paryża, że im „dzisiaj danem było brać udział w jednej z największych uroczystości, jaka kiedykolwiek oślepiła ludzkie oko i wzruszyła ludzkie serce. Albowiem Paryż pozdrowił i przywitał republikę. Paryż otworzył w księdze historii nową kartę i wypisał na niej swoje potężne imię i t. d., na znaną nam już nutę. Charakterystyczny, chociaż jak i poprzednie rzeczy nie oryginalny, był koniec tego aktu. Wiadomą jest rzeczą, że już mowy i proklamacje pierwszej rewolucyi stawiały obok *la patrie* zawsze *l'humanité* i *le genre humain*, tak samo jak przyrzekały ludom całej kuli ziemskiej przynieść ewangelię Wolności, Równości i Braterstwa. Podobnie także i wieczorna proklamacja z 28 marca. Odezwa ta rzuciwszy najpierw dumne hasło „Śmierć za ojczyznę! żądała dalej od Paryżan, ażeby mocno i z pełnem zaufaniem skupili się przy komunie, ponieważ tylko w ten sposób będzie można osiągnąć wielki cel ostateczny, to jest „uniwersalną republikę.”

Zwykła galijska manja wielkości Znowu staro szowinizm, tym razem przybrany czerwonym płaszczkiem.

## IV.

## Co za jedni? Czego chcieli?

Gdy lud, wypełniwszy swój obowiązek wyborczy podążył do knajp, nowo-wybrani obywatele komuny zasiadali do bankietu inauguracyjnego w sali świątecznej ratusza. Ale jakoś nie było wesoło. Zaraz na początku okazało się to, co można było powiedzieć zawczasu, że komuna nie jest czemś jednolitem i że sprzeczności trudno będzie pogodzić. Nie mogło też być inaczej wobec faktu, że sześćdziesięciu uczestników nowego rządu różniło się poglądami i zdążało do rozmaitych celów. Już dzisiaj zaraz wybuchł poważny dysonans w tej świątecznej harmonii, ponieważ jeden z wybranych pan Tirard z drugiego okręgu, zaznaczył bardzo wyraźnie, że uważa się tylko za członka gminnego przedstawicielstwa miasta Paryża. To zaś, wedle jego zdania, jest władzą nawskroś municypalną a nie polityczną; powinno się więc ograniczyć tylko do spraw miejskich, nie będąc zupełnie uprawnionym do zajmowania się polityką.

Łatwo można sobie wyobrazić, że zdanie to szło komunardom bardzo nie na rękę, jako, że ma-

jąc w komunie znaczną większość uważali ją za instytucję polityczną i w wysokim stopniu rewolucyjną. Prawdopodobnie tych samych poglądów, co Tirard było więcej jego kolegów w komunie, ale on jeden tylko miał zupełną odwagę swych przekonań i skoro tylko zauważył, jak mało odgłosu znalazło jego mniemanie, natychmiast złożył mandat dopiero co otrzymany.

Takie wystąpienie Tirarda pokazało komunistom, że jeszcze ciągle należy im się liczyć z umiarkowanymi i solidnie mieszczańskimi elementami Paryża, że dalej, wobec tego, nie mogliby występować bezwzględnie z dogmatami Blanqui'ego, z międzynarodowymi fantazyami i komunistycznymi mrzonkami.

Wypadek ten zamącił bankietnikom spokój i napędził im smutne i ponure myśli. Przy rozchodzeniu miał jeden z uczestników uczyć wyrazić się w następujący sposób: „Komuna rozpoczęła się winem, krwią się zakończy.”

Takie proroctwo wypowiedzieć wówczas nie było żadną wielką sztuką. Trzeba było tylko przyglądać się większości towarzyszy, którzy wchodzili w skład komuny.

Zapewne gdybyśmy chcieli zaprzeczyć, że w komunie znajdowali się także ludzie szlachetni i uczciwi, musiało by to być faktem z naszej strony nie tylko niesłusznym, ale wprost bezmyślnym. Tak jest. Między innymi byli tam także ludzie nieposzlakowanego życia i charakteru, ludzie niepospolitej wiedzy i wysokiego natchnienia. Można tam było natopkać uczonych, kupców, robotników, którzy bez kwestyi należeli do najlepszych obywateli swojej ojczyzny. Tak np. najstarszy wiekiem, prezydent komuny, siedemdziesięcio-sześćioletni inżynier Beslay, publicysta Vermorel, pracownik Protot, lekarz Rastoul, czeladnik malarski V. Clément (którego nie należy nigdy mieszać z szalonym fanatykiem J. B. Clément).

Ale większość, większość! Składała się ona z wyrzutek wszechświatowej kloaki Paryża. Pokątni adwokaci, pokątni literaci, pokątni lekarze, zbankrutowani kramarze, przepędzeni agenci, niedokończeni studenci, rozkładaczeni robotnicy, zbieranina głupoty, lenistwa, zawiści, ciemnoty, manii wielkości, pożądliwości, wyuzdania, jednym słowem katylinaryat, o jakim czytamy w Sallustius'zu — to byli ludzie, którym stolica Francji oddała swoje losy w ręce,

Świadek napewno nie podejrzany a kompetentny, wspomniany już przezemnie dzielny Victor Clément, namiętnie napiętnował komunę. Z usposobienia gorący republikanin o poglądach socjalno-demokratycznych został wybrany do komuny i naznaczony na mera osiemnastego okręgu Paryża. Szlachetny ten człowiek odwiedził pewnego razu swojego majstra Hallu w Faubourg Vaugirard.

„Jakiego pan jest zdania o komunie?” zapytał majster. „Co ja o tem myślę?” odpowiedział Clément. „Obawiam się, że jest to banda łotrów, zgraja Jakobinów, którzy niczego dobrego nie dokonają; wolałbym stać znowu w moich pantoflach drewnianych przy cebrze.“ Ten rzeczywiście istniejący i prawdziwy, a nietylko wymalowany albo wydrukowany robotnik, jakich wielu widzimy naokoło, jest godnym zaznaczenia jako człowiek, który podczas czerwonego kwartału w Paryżu uczynił bardzo wiele dobrego i wielu złym rzeczom zapobiegł<sup>1)</sup>.

Do najniebezpieczniejszych komunardów należeli Pyat, Varlin i Vallès, do najzłośliwszych Assi, Urbain, Billioray i Regère, do najbardziej szalonych Lullier i Allix. Bez wątpienia jednak najbardziej

<sup>1)</sup> Osoba Clément'a, jego wystąpienie i postępowanie zrobiły później nawet na wojennym sądzie wersalskim tak sympatyczne wrażenie; skazano go, jako członka komuny, na karę bezprzykładnie małą, bo tylko na trzy miesiące więzienia.

nieprzejednanym, najzimniejszym fanatykiem pomiędzy nimi wszystkimi był Delescluze. Stolarz Pinely, którego jego koledzy mianowali guwernerem ratusza, łączył w sobie z najciemniejszą purpurą brutalny humor. On to był człowiekiem, który, śmiejąc się, wyrzekł następujące słowa: „Jeżeli interes pójdzie na dno, to wysadzę ratusz wraz z całą komuną w powietrze! I rzeczywiście gotów był to uczynić. Nauczyciel Lefrançais i błazeński medyk Babick byli dwoma głupcami *in folio*: oni to symbolizowali niejako w sobie najwyższą i najgłębszą głupotę komunizmu. Ale do najbardziej zbrodniczych, najtwardszych, najzimniejszych i do najokrutniejszych członków komuny należeli bez kwestyi: rozkładaczony buchalter Teofil Ferré i niedokończony student Raoul Rigault. Ferré mały, suchy, smykowaty handlowiec i nadęty pijaczyna Rigault byli opętani przez legendę rewolucyi. Jeden z nich wziął sobie za wzór i przykład Hébert'a a drugi — Marat'a. W mówieniu naśladowali obaj hyperboliczno-bombastyczny sposób przemawiania Dantona. Szczególnie czynił to Rigault, którego bezmierna próżność lubiła prezentować się na każdym kroku ateizmem i maratyzmem. Lubił on mówić np.: „gdybym za 24 godzin otrzymał urząd prefekta policyi, pierwszym moim czynem byłby rozkaz aresztowania Pana Boga. Gdyby zaś nie dał się On odnaleźć, skazałbym Go na śmierć i stracił *in effigie*.“ Innym razem powiedział on, co następuje: „zrobiłem wielki wynalazek i chcę go, jeżeli to możliwe, opatentować. Mój wynalazek usuwa gilotynę. Jest ona wprawdzie godna poszanowania, ale jak to już zauważył obywatel Carrier działa za powolnie. Należy przestarać urządzenia poświęcać postępowi i umieć wykorzystać naukę. Gilotyna miała już swoje dobre czasy. Dzisiaj jest już ona przestarzała. Skonstruowałem elektryczną baterję, która pracuje pewnie, czysto, szybko i bez szmeru. Może ona, jeżeli te-

go zechcecie zniszczyć za jednym uderzeniem pięciuset reakcyonistów." Nabożny człowiek mógłby to nazwać szatańską ironią, że Rigaultowi ziściło się jego życzenie w zupełności, gdyż został naprawdę panem w prefekturze policji. Co do mnie, powiem tylko, że we Francji wszystko jest możliwe. Nic też dziwnego, że skoro tylko Jakobini z roku 1871 przyszli do władzy, poczęli występować jak najokrutniejsi tyranii: byli oni przecież małpami Jakobinów z roku 1793. Wszystko więc jest w porządku, jeżeli ci „rycerze wolności” prześladowali wolność prasy z największą zjadłością. A mianowicie Rigault. Gdy ten ostatni pewnego razu kazał aresztować jakiegoś dziennikarza, poszedł do niego jeden z kolegów aresztowanego, aby wyprosić uwolnienie więźnia. W trakcie rozmowy powiedział petent: „Zdaje mi się, że obecnie wolność prasy jest za mało szanowaną.”

Na to Rigault: „Wolność prasy? Nie wiem, co to znaczy.”

„Pan o tem nic niechcesz wiedzieć? Ale pan przecież przedtem codziennie się tego domagałeś.”

„Tak jest, naturalnie, ale było to za czasów Badinguet'a (Napoleona III). Po za tem co do mnie, to już i przedtem objaśniałem, że ani teraz ani nigdy nie zniesiemy wrogiej sobie prasy, jeżeli już raz staliśmy się silniejszymi. Teraz jesteśmy silni, a więc nie ścierpimy żadnej prasy opozycyjnej.”

Brakowało tylko jeszcze tego, ażeby ten Marat z roku 1871 powiedział: „*La presse—c'est moi.*” Była to odpowiednia do czasu i miejsca modyfikacja słynnego powiedzenia starego despoty Ludwika czternastego.

Jeżeli u młodych ludzi jak Ferré i Rigault pod lekką maską fanatyzmu krył się zbrodniarz, to przeciwnie, osoba Gustawa Flourens'a przedstawia nam typ arcy-fantasty. Syn znanego uczonego i sam z naukami obeznany, nie pozwolił Flourens swojej wiedzy nawet na najmniejszy wpływ na fantazyę,

którymi żył i upajał się od dzieciństwa. Był on z natury dobry i wielkoduszny jak przed nim pokrewny mu duchem Armand Bartès. Młody człowiek padł jednak także ofiarą mytu o rewolucji i to tak dalece, że w jego mózgu zakorzeniła się idea, iż rewolucyę trzeba zrobić dla samej rewolucji. Nie przyszło mu naturalnie na myśl zapytać się samego siebie, co ostatecznie koniec końcem przyjdzie z tej wiecznej rewolucji. Czyż mogło zresztą takie pytanie nasunąć się marzycielowi, entuzjastycznemu obywatelowi utopii, jakim był Flourens?

Odrzućmy jednak na bok te wyżej wspomniane i podobne im wyjątki, u których urojenie pochodziło przynajmniej z zapалу błędzącego po manowcach i chaotycznego pomieszania pojęć, a nie z egoistycznego rachunku próżności, żądzy zaszczytów i łotrstwa. Co do innych członków komuny, musimy ich uznać za smutne rezultaty grubo pojętego materializmu i materialistycznego sposobu myślenia naszych czasów. I ci bowiem głupcy i przestępcy są prawdziwymi kapłanami religii Mammona, panującej w naszym stuleciu. Taka tylko między nimi różnica, że hołdują jej w innej formie aniżeli nasi królowie złota i giełdziarze, którzy w swoich kasach gromadzą krwawicę i pracę całych ludów, rzucając, dzięki swojemu zuchwałemu procederowi, wyzwanie tym, którzy na nich pracują. Kiedy James Rothszyld, jeden z tych królów złota umarł w Paryżu przed wielu laty, zostawił on swoim synom 1600 milionów albo i więcej. I pomyśleć sobie tylko, że podstawę takich olbrzymich, możnaby nawet powiedzieć grzesznych skarbów jednej tylko rodziny stanowiły „krwawe pieniądze,” za jakie „ojcowie narodu” Karol pierwszy, Wilhelm ósmy, Fryderyk drugi i Wilhelm dziewiąty sprzedawali setkami tysięcy „biedne dzieci swojej ojczyzny” różnym potentatom, którzy między sobą prowadzili wojny. Tak np. Wilhelm dziewiąty sprzedawał Anglikom

masami swoich poddanych za czasów wolnościowej wojny w Ameryce. Te bogactwa rodzinne obciążone klątwami tysięcy ludzi przeszły za czasów Napoleona w ręce jednego z Rothszyldów, założyciela dynastji tej rodziny. Potrafił on nimi tak zręcznie operować, że już jego syn stał się arcykapłanem w świątyni Mammona.

Nad naszymi czasami zawisła ponura fatalność: coraz bardziej i bardziej zaostrzać społeczne przeciwności i coraz szerszą i głębszą kopać przepaść pomiędzy bogatym a biednym, między tym, co ma za wiele i tym, co ma mało. Kto przypatruje się komunie z roku 1871 rzuca już tem samem spojrzenie w tę przepaść. Popatrzcie na dół, wy, którzy macie odwagę patrzeć, czuć i myśleć. Z ciemnej głębi spoziera na was czerwona głowa potwornego smoka kwestji socyalnej, nieprawdaż? Odwracacie się wzdragając, a duszę waszą zamraża trwoga, że pewnego dnia smok wypełźnie z przepaści i zacznie zionąć na ziemię strumienie wściekłości, żaru i krwi. Tak jest, nas i wszystkich tych, którzy nie są bezmyślni, przeraża przeczcucie tej strasznej godziny, która ma przyjść, kiedy to oburzona, zemstą palająca praca rzuci się na kapitał i nastanie straszny dzień sądu, gdzie sądzone będą wszystkie krzywdy społeczne...

Dn. 29 marca nastąpiło ukonstytuowanie się komuny. Ustanowiła ona wydział, który miał się zmieniwać co tydzień.

W skład wydziału naczelnego komuny w pierwszym tygodniu wchodziłi obywatele: Lefrançais, jako przewodniczący, Bergeret i Duval jako zastępcy, Rigault i Ferré jako sekretarze. Następnie podzieliła się komuna na dziesięć komisji, które miały się zajmować pojedynczemi gałęziami rządów cywilnych i wojskowych. Stanowiły one coś w rodzaju dawnych ministerjów. Istniała naprzykład komisja skarbu, w której najważniejszą rolę grał student Jourde, urodzony talent finansowy; w komisji

wojennej zajmowali pierwsze miejsca obywatele Eudes Bergeret, Flourens, Cluseret, Rossel, Delescluze; w komisji bezpieczeństwa publicznego, która zastępowała działalność dawnej prefektury policyi panowali obywatele Assi, Ferré i Rigault. Ten ostatni zainstalował się już 20 marca w prefekturze policyi i wziął w swoje ręce władzę wypędzonego prefekta. Później odgrzano dla niego urząd i tytuł z r. 1792 *Procureur de la commune*. O bogini sprawiedliwości! zaprawdę dużo już miałaś kapłanów, których chcąc nie chcąc uznałaś za swoich, ale jednakże takiego egzemplarza jak obywatel Rigault jeszcze zapewne między nimi nie widziałaś. Rigault był tak odpowiadni na stróża bezpieczeństwa publicznego, jak obywatel Jules Vallès, mówiący, że Homer nie jest niczem innym jak osłą głową, był dobry na ministra oświaty.

Zdawało się, że mowa, jaką stary Beslay zamknął pierwsze posiedzenie komuny oraz hasło, które on w tej mowie wydał: „Pokój i praca!” mogły być uważane za rękojmię, że w zgromadzeniu tem będzie panował rozum i umiarkowanie. Ale zaczęło się tu niestety dziać tak, jak się to zwykło wszędzie i zawsze dziać w podobnych okolicznościach. W miarę jak wypadki zaczęły się toczyć z coraz większą szybkością, tem głośniej i gwałtowniej wpływały na wierzch namiętności, usuwając na bok coraz bardziej i bardziej rozumne zastanowienie. Wkrótce musieli pojąć rozumniejsi a umiarkowani, że się znajdują w znikającej mniejszości wobec elementów najskrajniejszych i szalonych. Ztąd też jeden po drugim zaczęli opuszczać posiedzenia komuny.

Także najskrajniejsi, którzy przecież tworzyli przeważającą większość komuny, często nie mogli się na jedno zgodzić. Komuna rozpadała się na Jakobinów i komunistów. Jedni z nich, idąc za tradycją 1793 r. chcieli republiki *a la St.-Just* i Robespierre z odrzuceniem jednakowoż centralizacji,

co samo w sobie było przecież sprzecznością; inni chcieli uznawać Rzeczpospolitą jako podstawę tylko, na której, wedle planów Internacjonalki, mieli wybudować komunistyczne państwo proletariatu. Obie frakcje miały w komunie aż do końca równe siły, czego skutkiem było to, że wielka góra porodziła mysz, to znaczy, że komuna nie osiągnęła żadnych rezultatów pozytywno rewolucyjnych, że dalej okazała się bezpłodną pod względem politycznym, społecznym i gospodarczym, że wreszcie, nie mogąc nic stworzyć, potrafiła tylko wszystko naokoło niszczyć. W jakikolwiekbyśmy sposób starali sobie wyjaśnić zjawisko, którym była komuna paryska z roku 1871, zawsze pozostanie możliwe takiego zjawiska, jednym z najsmutniejszych świadectw ubóstwa, jakie sobie ród ludzki wystawił.

Komuna rządziła bez programu, jeżeli za taki nie będziemy uważali manifestu, wydanego do „narodu Francji” w dniu 19 kwietnia. Dokument ten jest niejako policzkiem brutalnie wymierzonym całej historii kraju. Manifest ten żądał decentralizacji posuniętej do ostatecznych granic. Panowie komunardzi chcieli, aby Rzeczpospolita francuska składała się z tylu komun, ile jest miejscowości. Ta wolność gminna miała być tylko ograniczona przez równouprawnienie gmin, które za pomocą odpowiedniego układu miały wejść w skład państwa.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej nie-francuskiego, jak ten do ostatecznych granic, aż do rozproszenia doprowadzony podział ciała państwowego. Każdy człowiek obeznany z historią wie doskonale o wielkich stratach, jakie bezmierna centralizacja przyniosła narodowi francuskiemu. Wiadomo zresztą jest mu i to, że taka centralizacja tkwiła i tkwi we krwi francuskiej i że dlatego właśnie cały historyczny rozwój Francji szedł ciągle w tym kierunku. Byłoby aktem patriotycznym i państwowo mądrym, gdyby zatrzymane to, co w istocie centralizmu jest dobre i korzystne, a po-

woli starano się usunąć to, co w nim jest złe i szkodliwe. Szaleństwem jednak tylko można nazwać zaprzeczanie genezy państwowej, wywracanie całego organizmu państwowego naodwrot i nakazanie zmienić się od razu temu, co jest istotą ducha społeczności francuskiej. Jedyna oryginalna chęć jaką miała komuna, musiała ją od razu zaprowadzić do szpitala wariatów.

O prawodawstwie bieżącym komuny nie warto nawet mówić. Tego rodzaju akty, jak np. akty wydane przez komunę na korzyść dłużników, prawo wekslowe i prawo wynajmu mieszkań, należały do półśrodków rządu, który żył z dnia na dzień. Ażeby nadać sobie pozór obyczajności zakazała komuna wszelkiego rodzaju gier hazardowych; a w napadzie gorliwości komunistycznej uszczęśliwiania świata, czyli, inaczej mówiąc, ograniczania osobistej wolności i wolności stanowienia o samym sobie, zakazano piekarzom nocną porą gnieść ciasto i wypiekać chleb. Obywatel Vaillant, delegowany do szkolnictwa, człowiek wykształcony w uniwersytetach niemieckich, zadał sobie wiele trudu na stworzenie planu nowej organizacji szkolnej, który nie był wcale zły. Plany te jednakże pozostały tylko na papierze. Za wpływem Puyat'a wprowadzono w życie dekret komuny z dnia 3 kwietnia, który przeprowadzał rozdział między kościołem a państwem, odjął wydatki państwowe przeznaczone na kościół i zabierał wszystkie ruchome i nieruchome dobra klasztoru i kongregacji na własność narodową. Prawo to zostało wykonane o tyle, o ile na to zezwolił czas.

Finansami komuny zarządzał sumiennie i sprawnie obywatel Jourde, młodzieniec, który zresztą wyróżniał się wśród swoich kolegów nieposzlakowanym charakterem. Codzienny wydatek wynosił około 800,000 franków. Suma ta była pokrywana przez akcyzę, podatek tytoniowy, należność stemplową przez pożyczki siłą zaciągnięte w przedsiębiorstwach,

kolei żelaznych, i we francuskim banku. Instytucji tych wprawdzie nie obrabowano, gdyż sprzeciwili się temu energicznie zwłaszcza Jourde i Beslay, ale mocno je nadszarpano. Należy to niewątpliwie nazwać jednym z najciekawszych finansowo-politycznych kuryozów, że bank francuski z wiedzą i zgodą pana Thiers'a był w ostatnich dniach komuny niejako jej urzędowym kasyerem wypłacając jej dzień za dniem 800,000 franków. Pensye urzędników były zresztą wcale umiarkowane.

Drugiego kwietnia postanowiono, że maksymalna pensya urzędnika miejskiego może wynosić 6,000 franków. Członkowie komuny otrzymywali codziennie dyetę w ilości 15 franków i nic więcej. Głównodowodzący otrzymywał 16 franków dyety dziennej, a gwardzista narodowy 1½ franka i wikt. Oszczerstwem więc jest, jakoby komunardzi urządzali sybaryckie bachanalje i babilońskie orgie. Później przed sądem wojennym w Wersalu oznaczył obywatel Jourde ogólne wydatki komuny na 53 miljony.

Ażeby zrozumieć możliwość powstania i istnienia Komuny trzeba się zapoznać z literaturą, która powstała za czasów drugiego cesarstwa, literaturą ochranianą przez Tuillerye i pieśczoną przez giełdę. Nic dziwnego, że komunardzi, czytając tę literaturę grubej pospolitości, brutalnego egoizmu i triumfującego występku, musieli dojść do wniosku, że takie społeczeństwo jest godne tylko zniszczenia. Tak samo należy przyjrzeć się literaturze komuny, czytać dzienniki, od których się wówczas roił Paryż, ażeby się dowiedzieć jakie to dzikie instynkty i szalejące namiętności wybuchły wówczas i panowały w Paryżu. Tak jak czerwoni komedyjanci z roku 1793, podobnie bezwzględni i gwałtowni byli ich naśladowcy z roku 1871. Chcieli oni słuchać tylko swoich własnych głosów, a wygłoszenie jakiegokolwiek innego sądu lub zdania było prześladowane.

Co tylko nie miało pożytku dla tych obłudników wolności, nie powinno było wcale istnieć. Gnie-

ciono w sposób gwałtowny prasę, która nie chciała grać na nutę komunistyczną. I to nietylko rojalistyczne dzienniki musiały zamilknąć, ale także i republikańskie. Nietylko bonapartystowski „*Gaullois*” albo orleanistyczny „*Revue des deux mondes*” ale również i republikański „*Siècle*.” Na miejscu prześladowanej i poważnej prasy rozsiadło się bezwstydnie i szeroko lotrowskie dziennikarstwo. Najbardziej oberwane literackie cygaństwo Paryża, wyłazło ze swoich nor, aby na ulicach miasta tańczyć dziennikarską karmaniolę. I tutaj też jak i w innych zakresach, aby już nie powiedzieć we wszystkim, odgrzano najdziksze wspomnienia pierwszej rewolucji. Nie mogło tutaj brakować krwi i błotem obryzganego dziennika Hébert'a *Le père Duchêne*. Pismo to redagowane przez Vermersch'a i sprzedawane codziennie w 70,000 egzemplarzy przynosiło swoim skrybom dzień za dniem 1,000 franków czystego dochodu. Chcecie widzieć na własne oczy, jakie obrzydliwe i mordercze skoki urządziła bestya ludzka w Paryżu za czasów czerwonego kwartału, weźcie do ręki ten albo ów numer „ojca Duchêne.” Ale naciągnijcie najpierw rękawiczki i zatkajcie sobie nosy!

## V.

## Aresztujcie się nawzajem!

Co się działo tymczasem po za granicami „intelektualnego słońca całego świata”? Czy przykład „wspaniały”, jaki dał Paryż, znalazł naśladowców i poklask na prowincyi? Co robili błękitni i co robił pan Thiers?

Na prowincyi jednak nie działo się tak, jakby chcieli i życzyli sobie komunardzi z paryskiego ratusza. „Wspaniały” przykład nie przydał się na nic. Rozcząstkowanie Francyi w jeden chaos komun w niczem nie odpowiadało narodowemu smakowi. Międzynarodowe sprzysiężenie przygotowało sobie jednak dobrze grunt tu i owdzie na prowincyi, a nawet na wieść o tem, co się stało w Paryżu, dnia 18 marca, zabłysły również czerwone ogniki w miejscowościach St.-Etienne, Marseille, Toulouse i Rouen. Były to jednakże tylko ogniki, albo może nawet głównie, ale nie zdolne wszcząć wielkiego pożaru. Z całym ruchem na prowincyi nie wiele miał do czynienia rząd błękitnych, gdyż skoro tylko zdołano pochwyć w Kastenlau głównego działacza Blanqui'ego, skończyły się tam rozruchy.

Wprawdzie pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu tyranów paryskich obełgiwało aż do ostatniej chwili siebie i swoich podłanych, że ich „bracia” z prowincyi przyjdą im na pomoc tłumnie i z wszelką pewnością; faktem jednakże było, o czem się wkrótce przekonano, że paryska komuna nie mogła niczego oczekiwać z kraju. Prowincya wyemancypowała się tym razem z pod wpływu stolicy i rządziła się decentralistycznie, wiedziona rozumnym instynktem.

Tymczasem mały Thiers w Wersalu nie pozostawał wcale bezczynnym. Przeciwnie, krzątał się gorączkowo. Miał on do naprawienia więcej, niż jeden błąd i starał się go naprawić. Z początku jednak tylko częściowo i połowicznie. Trudno zrozumieć, dlaczego Thiers, mając do rozporządzenia w dniu 25 marca siłę wojskową w ilości 40,000 ludzi z 520-tu działami, dopuścił do miasta bezradne i wzruszająco niedołążne załogi admirała Saisseta, a nie przedsięwziął ataku na Paryż. W wymienionym dniu byłoby mu się to o wiele łatwiej udało, niż w tydzień później, kiedy czerwoni mieli w swojej mocy obwarowanie całego Paryża i zorganizowane siły wojenne. Udało mu się także bardzo łatwo opanować południowe forty miasta. Ale kolosalnej cytadeli Mont Valerien nie udało im się zdobyć, gdyż zawczasu jeszcze cytadelę tę zajął zdolny i godny zaufania komendant, na czele wiernej rządowi załogi. W ten sposób pozycya osłaniająca zachodnią część Paryża, pozostała w rękach błękitnych, co, jak się wkrótce miało okazać, stało się dla czerwonych okolicznością bardzo nieprzyjazną.

Ciekawą w najwyższym stopniu, a jedną w swoim rodzaju okolicznością było to, że obecność niemieckich wojsk w fortach północnych i wschodnich wyszła na korzyść tak czerwonym, jak i błękitnym. Czerwonym dlatego, że pozostawała nietylko do obrony zachodnia i wschodnia część miasta, błękitnym zaś dlatego, że nie potrzebowali otaczać całego miasta, a całą siłę ataku mogli skoncentrować



na południowym i wschodnim froncie. Człowiek jest niewdzięcznym stworzeniem. Później wrzeszczeli i błękitni i czerwoni w braterskiej zgodzie na Niemców. A cytowany już przez nas ksiądz Lamazon zrobił inteligentne odkrycie, że komuna jest niczem innym jak tylko „pruską intrygą”, że więc komuniści i podpalacze „uczyli się w szkole Bismarka i Moltkego”.

Już poprzednio wyłuszczyliśmy, że czerwoni rozporządzali poważną siłą wojenną i mieli w swych rękach wystarczającą ilość wojennych machin wszelkiego rodzaju. Nie brakło też komunie i na generalach. Byli to jednak generalowie w rodzaju Flourens'a, Endes'a, Brunel'a, Dural'a, Bergeret'a i Lullier'a, którzy mieli pozostać na swoich stanowiskach wojskowych tylko tak długo, aż przyjedzie Garibaldi (którego z pośpiechem wezwano do Paryża) i obejmie naczelne dowództwo, ofiarowane mu przez komunistów. Tym razem jednak poczciwy starzec z Kaprei okazał się o wiele rozsądniejszym, niż w roku 1870. Pamiętny doświadczeń, jakie w ostatnich czasach zdobył w stosunku do Francuzów, a Francuzi w stosunku do niego, pozostał spokojnie na swojej koziej wysepce. Mył rewolucyjny, że konwent posyłał swoich generalów na gilotynę tak długo, aż znalazł się jeden z pomiędzy nich, który ją umiał zwyciężyć, znalazł w ratunku bardzo wielu wiernych i wyznawców. Wprawdzie jeszcze dotąd nóż gilotyny nie został uznany za krytyka strategii i taktyki wojskowej, ale natomiast komunisty aresztowali się ciągle nawzajem. Tak np., oficer marynarki Lullier, kiedyś bezwątpienia człowiek napół zwaryowany został 26 marca zrzucony ze stanowiska komendanta straży obywatelskiej i aresztowany. A stało się to niby z tej racji, że Lullier w trakcie jakiejś gorącej dysputy, rzucił w głowę stołek swojemu szanownemu koledze Assi. Dnia 2-go kwietnia wyrwał się jednak Lullier z więzienia i oświadczył u Rochefort'a „*Mot d'ordre*”, że odtąd będzie chodził z dwunastu rewolwerami w kieszeni. Tego sa-

mego dnia dała komuna rozkaz aresztowania swego członka, Assi, oskarżając go, że zajmował się werbowaniem zwolenników dla Bonapartyzmu. Tak, tak szanowni obywatele z komuny mieli w większości wypadków dosyć dużo przyczyn, aby się odnosić do siebie nieufnie.

Dnia 1-go kwietnia nazaczyła komuna medyka Eudes czemś w rodzaju ministra wojny (jako „delegowanego do spraw wojennych”), a byłego faktora drukarskiego, Bergeret'a, który dcąd był sierżantem straży obywatelskiej — szefem sztabu generalnego. Następnego dnia rozpoczęła się poważnie już wojna między czerwonymi a błękitnymi.

Pomimo zdania pana Thiers'a, że do ataku na Paryż wtedy należy dopiero przystąpić, kiedy rząd będzie miał do rozporządzenia co najmniej 130,000 ludzi, rozpoczęto działania wojenne, przesuwając pewną ilość wojska, pod dowództwem generała Vinoy, z St. Cloud, aż na brzeg Sekwany. Błękitni nie mogli jednak zgromadzić takiej ilości wojska, jaką chciał mieć pan Thiers, bez odpowiednich rokowań z państwem niemieckim. Rokowania te, jak wiadomo, doprowadziły do celu. Całe dziesiątki tysięcy żołnierzy wypuszczonych z niewoli niemieckiej włączono do armii, mającej zdobywać Paryż.

Dnia 2-go kwietnia rozpoczął się krwawy tańiec. Pikieta czerwonych, wysłana z mostu Sekwany od Neuilly, aż do Courbevoie natknęła się na awangardę wojsk generała Vinoy. Spotkanie skończyło się strzelaniną. Czerwoni mówili, że błękitni, a błękitni mówili, że strzelać rozpoczęli czerwoni — naturalnie „zdradziecko”. Ponieważ do kłótni wmixwały się także ogniste paszcze z Mont Valerien, mieli czerwoni dostateczne powody cofnąć się nietylko przez most Sekwany, lecz także po za bramę Mailot, to jest za obronne wały Paryża. Błękitni rozstrzelali bez pardonu jeńców schwytanych. Odpowiedzieli oni teraz na mordercze strzały z dnia 18 marca. Widzimy, że w tej francuskiej wojnie domo-

wej zaczęto postępować zupełnie w stylu hiszpańskim.

W mieście zawrzało gwałtownie wszystko, co czerwone. Mielibyśmy pozwolić Thiers'owi, jego głowom kapuścianym i chłopskiemu Zgromadzeniu, na taki początek? Armaty na wał zachodni! *Aux armes, citoyens!* Do Wersalu! Do Wersalu! Niechaj nasi generałowie czynią swoją powinność. Trzeba już raz zniszczyć to przeklęte gniazdo rojalizmu i klerikalizmu, i jednym uderzeniem otworzyć drogę do Francji naszej sławetnej komunie!

„Nasi generałowie” Eudes, Bergeret, Duval i Flourens, wypełnili istotnie swoją powinność, zwołali radę wojenną i ułożyli plan, na który komisya wykonawcza w ratuszu zgodziła się w zupełności. Wieczorem ukazała się na murach odezwa, w której błękitnym wymyślano od „*Chouans*”, nazywano ich „żuawami papieskimi”, „rojalistycznymi spiskowcami” i t. d., i t. d.

Dnia następnego rozpoczął się atak, który nie wypadł jednak wcale świetnie. O godzinie 4-ej wymaszerowali czerwoni z miasta i w trzy kolumny uszykowani wyszli po za granice wałów. Od strony lewej miał generał Eudes iść na Villacoublay, ulicami Mont-Rouge i Clermont. Pośrodku szedł generał Duval przez Issy i Meudon na Viroflay. Z prawej strony mieli generałowie Bergeret i Flourens starać się dotrzeć do Rueil i Bougival. Celem tego potrójnego napadu miał być generalny atak na Wersal, „ażeby węża zdusić w jego własnym gnieździe”. No, ale jak wiadomo, do wykonania jakiegóś planu należy zawsze dwóch. Jeden, który go przeprowadza i drugi, który zgadza się na to przeprowadzenie. W danym wypadku druga strona odmówiła swej zgody, to znaczy błękitni zmusili czerwonych do krwawego odwrotu. Szczególniej przyczynił się do tak smutnego końca dla czerwonych morderczy ogień z baterji Mont Valerien. Wszyscy generałowie komuny zostali na wszystkich punk-

tach pobici na głowę i ostatecznie niefortunna wyprawa została dnia następnego odrzucona za wały Paryża. Dwaj czerwoni dowódcy nie powrócili wcale do miasta. Fantastyczny, ale szlachetnie fanatyczny i odważny Flourens, odcięty ze swoimi wojskami od Paryża, zatrzymał się 4-go kwietnia na noc w pobliżu Rueil. Tutaj zaskoczony przez zandarmów, których na niego podjudzili chłopci, walcząc padł od szabli swojego przeciwnika. Schwytanego Duval'a kazał rozstrzelać generał Vinoy Kiedy Duval'a przyprowadzono przed generała, zapytał go ten ostatni: „cobyś pan zemną uczynił, gdybyś był pańskim jeńcem?” Na to odpowiedział Duval, jak człowiek uczciwy: „Kazałbym pana rozstrzelać”. Postąpiono z nim tak, jakby on postąpił w analogicznym wypadku. Jak ty mnie, tak ja tobie.

Nieszczęśliwa matka Gustawa Flourens'a przewiozła zabitego syna do Paryża z Wersalu, gdzie go stracono. Zwłoki syna wydano jej pod warunkiem, że pogrzeb odbędzie się bez pompy i demonstracyi. Za pogrzebem Flourens'a na cmentarz Père Lachaise szła tylko niepokieszona matka, dwaj pozostali jej jeszcze synowie i ksiądz. Nazajutrz wydrukowano w czerwonym dzienniku: „Zwłoki Flourens'a pogrzebano w ziemi poświęconej w asystencyi księdza. Jest to nieszczęście, wołające o pomoc do nieba”. Ale nie jest to już nieszczęściem dlatego, co wstąpił w wielkie państwo milczenia, gdzie kiedyś zapadnie się spalony glob ziemski ze wszystkimi swojemi złudami radości i bólu, jak cicho tonie w głębinach przekwitła lilia wodna...

Z pogrzebu 31 innych poległych zrobiono wielkie widowisko. Jak wszyscy despoci, wiedzieli i panowie z ratusza, że ludowi trzeba dawać „*panem et circences*”. Równocześnie ogłoszono proklamację, w której oświadczano lapidarnie: „Bandyci z Wersalu wieszają, albo rozstrzelują naszych braci, którzy im wpadli w ręce. Jeżeli zamordują jeszcze bodaj jednego z naszych żołnierzy, odpowie-

my im na to śmiercią takiej samej, albo podwójnej ilości naszych jeńców". Była to krwawa wskazówka na okrucieństwa, które później miały się stać rzeczywistością w La Roquette i po innych więzieniach...

W dniu nieudanej, wielkiej wyprawy zamiano- wano obywatela Clusereta z komuny delegatem do spraw wojennych. Przedtem w wojnie krymskiej kapitan batalionu strzelców, opuścił Cluseret francuską służbę nie wiadomo dla jakich powodów, brał udział w sycylijskiej awanturze Garibaldi'ego, a później w wielkiej wojnie domowej w Ameryce. Typowy kondotier naszego stulecia, miał on „węch rewolucyjny” i biegł zawsze i wszędzie tam, gdzie się „coś psuło”. Zresztą, był to dzielny żołnierz i wcale zdolny oficer. Jego talentowi organizacyjnemu i jego działalności jako ministra wojny należy głównie przypisać, że czerwonym udało się tak długo bronić Paryża przeciw błękitnym. Cluseret zaprowadził wzorowy porządek i surowość w służbie wojskowej. Niewiele kłopotu robił on sobie z zerami, które z drukarzy i introligatorów stały się generałami. Tępaka Bergeret'a, którego komuna po smutnej próbie 3 go kwietnia mianowała kometandantem miasta, kazał on zdegradować i uwięzić, aby na tem ważnym stanowisku osadzić dzielnego Polaka Dąbrowskiego. W nieszczęśliwą godzinę zamianował Cluseret szefem sztabu generalnego młodego, uzdolnionego, ale ambicyjami trawionego kapitana Rossel. Człowiek ten po upadku Metz zламаł słowo honoru dane Niemcom, a później z pod trójbarwnego sztandaru swojej ojczyzny uciekł do czerwonych. Rossel zupełnie zasłużył sobie na śmierć, jaką później poniósł na równinie Satory. Zaraz po otrzymaniu swego stanowiska zaczął on kłócić przeciw Cluseret'owi i kopać pod nim dołki. Skutkiem tych machinacyi komuna odebrała stanowisko ministra wojny Cluseret'owi i kazała go w dniu 30 kwietnia uwięzić. Miejsce jego zajął natychmiast

Rossel, jako prowizoryczny minister wojny. Zauważywszy jednak później, że godność przezeń przyjęta jest zbyt ciężką na jego barki, rzucił swą tekę ministeryalną dnia 3 maja. Skutkiem tego było aresztowanie Rossel'a. Udało mu się wkrótce jednak zemknąć razem ze swoim strażnikiem komunardem Gérardin i zniknąć bez śladu. Aż do 8-go czerwca potrafił się ukrywać w swojej kryjówce, gdzie go dopiero odnalazła policja błękitna.

Po doświadczeniu zrobionem z Rossel'em nie chciała już komuna słyszeć o żadnym oficerze na stanowisku ministra wojny i dlatego nazaczyła delegatem do spraw wojennych obywatela Delescluze, nazywanego „Starcem z góry”. Delescluze kierował ostatnimi walkami i kurczami komuny w surowym stylu jakobińskim z roku 1793. Spiskowiec od lat młodzieńczych, walczył on przeciw czerwonomu cesarstwu, przeciw pseudo-republice z roku 1848, przeciw drugiemu cesarstwu, ciągle srodze prześladowany. Cierpienia, jakie przeżył w więzieniach francuskich i pod żarem gorącego słońca w Cayenne, wysuszyły jego ciało, a serce zamieniły w kamień. Ten długi, suchy, bladej starzec wyglądał jak ucieleśniona myśl Robespierre'a. Cóż miał on zresztą do stracenia? Nic. Dnia 18 marca spotkał Delescluze jakiś znajomy na ulicy i zaniepokojony, zapytał:

— Co się stanie, jeżeli Prusacy się w to włączają i zamienią Paryż w jeden stos płomieni?

— Ach, jest mi to objętne — odpowiedział starzec z góry — nie jestem przecież właścicielem domu.

## VI.

## Strzelają, przepowiadają, szachrują.

Zdanie, że „wszystko to już było”, nie jest już obecnie prawdą. W naszych czasach, tragikomedya ludzkości, zwana także historią, dała nam naprawdę rozmaite i dotychczas jeszcze nieznane postaci i sceny. Czyż cała scenerya, na której odgrywała się komuna nie była nową, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że za kulisami stali na widoku żołnierze niemieccy. I czyż marszałek Mac Mahon nie był postacią nową, jakiej dotąd jeszcze nigdy nie widzieliśmy? Napewno tak. Nie dlatego wprawdzie, że będąc notorycznym rojalistą przedstawiał prezydenta republiki, ale dlatego, że człowiek ten, który uciekł z pod Wörth, a pod Sedanem został wyniesiony z pola bitwy, mógł być wybranym na głowę państwa swojego kraju. Ze zwycięskie miecze zamieniały się na berła, to już często bywało. Ale że złamany miecz zamienił się na berło, to było nowe.

Ponieważ stary Thiers nie mógł sam osiąść konia (niewątpliwie ku swojej udręce) — musiał się obejrzyć za jakimś odpowiednim wodzem i wybór

jego padł na Mac Mahona, który tylko co powrócił z niewoli niemieckiej. Świadczy to niewątpliwie o żołnierskiej dzielności Mac Mahona, że mimo Wörth i Sedanu zdołał jeszcze zachować tak wysokie poważanie. Możliwe, że ta quasi-republika chciała przez mianowanie bardzo katolickiego marszałka dać klerowi porękę swojej lojalności. Zresztą i nie było w czem wybierać.

Marszałek miał pod ręką wystarczające siły wojenne w liczbie 150,000. Armią czynną, złożoną najpierw z trzech, a później z pięciu korpusów, dowodzili generałowie: Ladmirault, Eisse, Du Barrail, Douay i Elinchart. Rezerwa stała pod rozkazami generała Vinoy. Skoro zakończono organizację, uzbrojenie i podział wojsk, rozpoczęto w czwartek, dnia 6 kwietnia ruchy nieprzyjacielskie przeciw czerwonym. Najpierw w kierunku Neuilly. Polne stráže czerwonych, które znowu odważyły się zbliżyć pod Courbevoie, spędzono ztamtąd z powrotem przez most Sekwany i Avenue, aż do bramy Maillot. Równocześnie Mont Valerien zasypywał ogniem Neuilly i jego okolice. Tak samo dnia następnego zasypywali błękitni kulami armatnimi Pola Elizejskie i Quartier Les Ternes. Żelazni posłowie donieśli Paryżanom o całej grozie i powadze położenia i rozpoczęciu się drugiego bombardowania miasta. Wielki piątek tego roku ujrzał ośmiogodzinną zażartą walkę o posiadanie mostu w Neuilly. Czerwoni bili się z prawdziwą pogardą śmierci i dopiero nazajutrz (8 kwietnia) przestali kusić się o zdobycie ważnej pozycji, jaką był most zabrany przez błękitnych. Po ciężkich stratach dopiero mogły wojska rządowe ustawić na prawym brzegu Sekwany baterie, które razem z batalionami fortu Mont Valerien, obrały za cel swoich pocisków bramę Maillot, znajdującą się za wałami i dalej po nią leżące: Łuk Trymfalny i Pola Elizejskie. W wielką niedzielę i poniedziałek walka ucichła.

Dnia 11-go kwietnia zainaugurował marszałek

pierwszy dzień swojego dowództwa gwałtownym ogniem armatnim, jaki baterie błękitnych z Neuilly i Chatillon otworzyły przeciw bramie Maillot i południowym fortom. W nocy podjęto znacznymi siłami próbę opanowania południowych fortów zniemacka. Ale czerwoni byli czujni i dobrze przygotowani, tak, że próba spełzła na niczem. Przygotowali oni atakującym tak gorące przyjęcie, że ci, nie mogąc w tak gorącej atmosferze wytrzymać, uciekli. O wiele lepiej powiódł się błękitnym atak na zachodnią stronę miasta, a mianowicie zdobycie dnia 17 kwietnia przez wojska generała Montaudon zamku Bécon, położonego przy Asnières. Zamek ten mocno obsadzili i obwarowali czerwoni jako pozycję, która broniła rzeki i panowała nad ulicami pomiędzy Courbevoie i Asnières. Zdobycie tego punktu było dla czerwonych pełnym znaczenia sygnałem, aby się już ostatecznie cofnąć na prawy brzeg Sekwany.

Mieszkańcy miejscowości leżących między wałami a rzeką: Clichy, Levallois, Champerret, Villiers i Neuilly, nie mogąc znieść ciężaru ciągle się w tej okolicy powtarzających walk i upartej strzelaniny bez końca, zabierali swoje mienie i uciekali do Paryża. Prześliczne wioski albo miasteczka rozsypywały się w gruzy pod uderzeniami krzyżujących się pocisków. Według planów marszałka miały wojska posunąć się ku zachodniej stronie, tak daleko przynajmniej, jak daleko posunęły się w stronę wschodnią. Wtedy dopiero z obu stron możnaby zaatakować linię wałów. Ale w fortach południowych bronili się czerwoni zażarcie przeciw swoim błękitnym wrogom aż do maja. Generałowie błękitnych musieli rozpocząć formalne oblężenie i uciec się do kopania rowów i innych fortelów oblężniczych. Walka o tę cytadelę sprowadziła w łonie komuny najrozmaitsze kryzysy i dała, między innymi bezpośredni powód do upadku Clusereta.

Dnia 9-go maja padł Issy, a 14-go dostał się wreszcie w ręce błękitnych Vauves. Na kupach

gruzów, w jakie kule oblegających zamieniły oba zamki, powiewała aż do ostatecznej chwili czerwona chorągiew.

Obecnie dopiero mogły wojska marszałka próbować zdobycia obwałowania miasta, ale nie prostym szturmem, który mógłby się okazać całkiem bezcelowym. Trzeba było tutaj użyć i użyto też w tym celu wszelakich obrachunów i sztuk inżynierskich, działalności armat oblężniczych, ostrych haków i łopat. Między krzyżującymi się kokieteryjnie ścieżkami i alejami ulubionego parku Paryżan Bois de Boulogne, gdzie dotąd powaby swoje rozwijały tylko luksusowo strojne kobiety, ustawiono obecnie olbrzymie szanice, zbrojne w 70 dział najcięższego kalibru. Bateria ta zaczęła natychmiast płuć żelaznym gradem na wał naprzeciw niej leżący i na piękne przedmieścia Auteuil i Passy, które się tuż za nim rozciągają.

Pod osłoną strzałów armatnich mógł dowodzący tutaj generał Douay posuwać się z kopaniem rowów coraz bliżej w kierunku obwałowania.

Nie pomogła jednak gorliwość błękitnych, i wszystkie ich postępy nie dosyć były szybkie, ażeby przeskodzić możliwości urzeczywistnienia się złym myśłom, jakie rodziły się w komunie, albo co najmniej w głowach niektórych jej fanatycznych członków. Później dopiero wykazało śledztwo sądu wojennego, że istotnie rodziły się myśli przygotowujące bezprzykładną katastrofę. Zresztą fanatycy i szarlatanowie czerwonej grozy nie kryli się wcale ze swojemi zamiarami. Owszem chętni się niemi publicznie. Jeden z głównych szarlatanów — bo na fanatyka był on za bardzo lekkomyślny — Jules Vallès, członek komuny, opowiadał każdemu kto go tylko chciał słuchać i pisał w swoim dzienniku „*Cri du peuple*”, że czerwoni oddadzą błękitnym Paryż jako jedną kupę zwalisk. „Mogą sobie bandyci z Wersalu zdobywać fort za fortem. Mogą także zburzyć obwałowanie miasta. Ale mimo to żaden z ich żoł-

nierzy nie wejdzie do Paryża. Jeżeli Thiers rozumie się trochę na chemii, to nas pojmie. Niechaj wie armia z Wersalu, że Paryż nie przerazi się niczego, *ale to całkiem niczego*. Odpowiednie środki są już przewidziane.

Ze te groźby były istotnie dobrze obmyślane, dowiódł tego ostatni akt kwartału czerwonego, może zanadto czerwonego, krwawego i ognistego. Nasz szarlatański prorok zdaje się wcale nie myślał o tem, że inni jego przepowiednie zechcą w czyn wprowadzić. Następująca scena, którą opowiedział świadek zupełnie godny zaufania, rysuje tego człowieka a z nim wszystkich tych niesumiennych i bezwstydnym cyganów, którzy czynią i uczynili z agitacji rzemiosło, a z rewolucji źródło swoich dochodów.

Dnia 11-go maja, opowiadał pewien paryżanin niemieckiemu publicyście, G. Sznajderowi, fakt następujący: „Przyjaciel mój, dyrektor dziennika „*Eclipse*”, został zrabowany i aresztowany przez niejakiego Pilotella. Nawiasem mówiąc, Pilotelle, karykaturzysta podlejszego gatunku i marny człowiek, przez centralny komitet mianowany czemś w rodzaju ministra sztuk pięknych, wolał zamienić swoje stanowisko na posadę komisarza policyi. Chciałem spróbować, czyby mi się nie udało uzyskać uwolnienia aresztowanego za protekcją Vallès'a, a ponieważ mówiono mi, że jada on u winiarza Delille'a na placu Victoires, poszedłem do tej restauracji. Wkrótce przyszedł Vallès. Był on wówczas ogolony i miał na sobie letnie ubranie z różyczką wpiętą w klapę od surduta. Ubrany był w polską czamare, na nogach buty węgierskie, czapkę z wydrzej skóry na głowie, a przy boku nieodstępną ciągnącą się szablę. Zobaczywszy mnie zawołał:

— Czy chcesz pan zająć moje miejsce w hotelu de Ville?

— Bardzo dziękuję! Nie chcę mieć przyjemności być rozstrzelanym.

Vallès odłożył czapkę, surdut, a nawet kami-

zelkę. Czarne jego włosy lepiły się od potu, oczy świeciły się gorączkowo, piersi dyszały. „Co za rzemiosło!” — zawołał. — „I to ja, co jestem taki leniwy! Ci ludzie tam doprowadzą mnie jeszcze do obłądu. Posiedzenie w dzień, posiedzenie w nocy. I po co to? Aby śpiewać chwałę Babeuf'a! Niech pan tylko posłucha. Wersalczycy odbierają nam godziną za godziną ziemię, mury, nadzieję, a nas zwołano na posiedzenie wieczorne, ażeby radzić nad wnioskiem Coutert'a, który grozi swoją dymisią, jeżeli się nie uchwali zdetronizowania Boga. Co do mnie będę głosował przeciw wnioskowi. Nic mnie Bóg nie obchodzi. Chrystusa tylko nie mogę znieść, tak jak i wszystkich pozornych sław.” Vallès, który nigdy nie był miękkiego serca odmówił mojej prośbie. Pytałem go jeszcze później: „Jak się to wszystko skończy?” — „Oh, w najprostszy sposób na świecie” — odpowiedział. — „Cluseret, albo jakiś inny sprzedawca wersalczykom bramę wałową i pewnego pięknego poranka wybiorą nas jednego po drugim z łóżek — cudowny bukiet kwiatów dla Cayenne! Co do mnie, sądzę, że na czas będę uwiadomiony. Mój kufer już spakowany: strząsnę proch ze stóp swoich i udam się do Szwajcaryi albo Belgii. W przeciagu sześciu miesięcy nastąpi we Francji zmiana rządu, która sprowadzi amnestyę. Wtedy powrócę i dzięki mojej popularności zostanę deputowanym. Jako taki, zajmę miejsce na ławach opozycji, t. j. opozycji umiarkowanej. Słowo daję, że wszystko to jest możliwe i nawet nie widzę powodu, dla którego bym nie mógł zostać ministrem. Ernest Picard także został ministrem.

## VII.

## Obłęd prześladowczy.

„Musimy mieć dyktatora. Potrzebujemy dyktatury“! — wołał Rochefort w swoim „*Mot d'ordre*“.— Prawdopodobnie ten skryba czuł w sobie materiał na dobrego dyktatora. Zawsze demokracja przeciągnięta do ostatecznych granic możliwości kończyła się dyktaturą. Gdy ludzie zauważą, że im nie pomaga przesąd o najwyższym rozumie większości, rzucają się znowu w objęcia zabobonu o najwyższym rozumie mniejszości i to tak namiętnie, że zaczynają ograniczać pojęcie mniejszości do człowieka jednego, od którego oczekują tego wszystkiego, czego nie mogła im dać cała masa ludzi. Naturalnie, oszukają się oni i w tym wypadku. Takie bowiem jest przeznaczenie ludzkości: błąkać się od wiary do rozczarowania, a po rozczarowaniu wracać znowu na łono wiary.

Ządanie Rockerforta nie znalazło odgłosu w komunie. Panowie z ratusza uważali się za zbyt potrzebnych i ważnych, aby komukolwiek oddać dyktaturę. Urzędowali więc dalej, usuwając bez ustanku szczyzny, jakie wśród nich ciągle po-

wstawały. Komuna musiała się też zgodzić na współzrządzenie komitetu centralnego, który w dalszym ciągu istniał, przeniosłszy się tylko z hotelu de Ville do domu przy ulicy Entrepot.

Jeżeli dyktatura w jednej osobie była niemożliwą, jak się przedstawiała dyktatura wielogłowa? W ewangelii św. Jakóba z roku po trzykroć świętego 1793 było napisane, że dyktatura zwana *Comité du salut public* albo radą publicznego dobra, uratowała Francję i republikę. Idźmy więc dalej, spokojni w polityce małpowania, ustanówmy również komisję dobra publicznego, która uratuje Francję i komunę. Obywatel Miot stawia odpowiedni wniosek, który przechodzi większością 34 głosów przeciw 28. Zaraz potem następuje 1-go maja wybór członków do komisji publicznego dobra ze strony 34. Rezultatem tych wyborów był następujący skład komisji: obywatele Arnaud, Meillet, Ravnier, Pyât, Gérardin. Komisja jednak w tym składzie nie utrzymała się długo przy władzy. Po 9 maja, (fort Issy był już stracony) kiedy interesa komuny zaczęły iść coraz gorzej, wybrano nową komisję publicznego dobra, złożoną z obywateli Arnaud, Billioray, Eudes, Ganebon i Ravnier. Jednakowoż instytucja ta nie była żywotną. Silna mniejszość, do której należeli między innymi Beslay, Clément, Jourde, Vermorel, protestowała ciągle przeciw całej komisji publicznego dobra jako instytucji stojącej w sprzeczności z jednością i celami komuny. Jeżeli można jeszcze mówić o władzy, to istotna władza przeszła w dniu 9-tym maja w ręce delegata wojennego Delsescluze. Władzę naczelną nad wszystkimi siłami wojennymi komuny oddano w ręce Polaka, Dąbrowskiego. Do niego przyłączyli się dwaj inni rodacy, tacy dwaj „szlachetni Polacy z Polski”, o jakich pisał Heine, mianowicie Byszyński i Wołowski, chcąc go skłonić do porozumienia z Wersalem, czyli mówiąc właściwie, do zdrady. Pertraktacje te nie udały się jednak, albo nie mogły być doprowadzone do

końca. Dąbrowski nie miał nawet czasu, ażeby dobrze odpowiedzieć zadaniom naczelnego wodza. Zresztą teraz już grał każdy komunarda rolę dyktatora na własną rękę, w miarę tego, jak daleko ręka jego potrafiła sięgnąć. Ręce takich towarzyszy jak Rigault i Ferre sięgały daleko, za bardzo może daleko...

Dnia 12 maja wydała komisya publicznego dobra proklamacyę, w której ostrzega, że „reakcya, zwątpiwszy o tem, aby mogła Paryż zdobyć zbrojną ręką”, chwyciła się innego środka: postanowiła „zniszczyć siły komuny za pomocą korupcyi”. W dalszym ciągu odezwy, mówi komisya wyraźnie: „Ich złoto rozrzucane pełnemi garściami znalazło wśród nas sprzedajne sumienia”. Tak jest! Nawet fanatyzm grany dla oka ludzkiego ze strony jakiegoś Billivray i Mortier, nie mól się oprzeć żółtemu powabowi wersalskiego złota. Tymczasem jednak nie udały się propozycye zdrajców, aby błękitnym otworzyć tę lub ową bramę. Nieszczęście chciało i musiało iść swoją drogą.

Z początkiem maja wypadki rozwijały się z coraz większą szybkością. Pogardzenie zasadą wolności osobistej i bezpieczeństwa majątkowego przybierało z dnia na dzień coraz większe rozmiary. Konfiskaty w domach nie lubianych, bogatych ludzi, plądrowanie kościołów i prywatnych domów, areszty „podejrzanych”, polowania na tych, którzy usuwali się od przymusowej służby w straży obywatelskiej, wszystko to mnożyło się w zastraszający sposób i coraz wyraźniej przybierało charakter czerwonej brutalności. Dn. 14-go maja nakazała komisya wydać komunie dekret, na mocy którego każdy i każda obowiązani byli stale nosić przy sobie „kartę obywatelską” zatwierdzoną przez odpowiednie władze. Jeżeli ktoś nie miał przy sobie takiej karty, dostawał się natychmiast do więzienia. Nawet w tym drobnym wypadku okazała się komuna paryska bezwzględna naśladowniczką roku 1793. Musimy jednak

przyznać, że w dalszej swej działalności rozwinęli teroryści z r. 1871 pewną oryginalność. W wyrażaniu swych okrucieństw i zbrodni, prześcignęli nawet poprzedników. Świadczy o tem z jednej strony postępowanie z „zakładnikami”, z drugiej zaś strony barbarzyńska myśl spalania Paryża. Ale nie, nawet ta myśl nie była nowa. Zburzenie Lyonu przez starych Jakobinów, mogło komunardów zachęcić do nowego zniszczenia Paryża. Pani Dudevant (George Sand) opowiada w historii swojego życia następującą historię. Pewnego późnego wieczora na początku lat czterdziestych, poszła Sand ze swoim przyjacielem Michel de Bourges nad kanał Tuillerski. De Bourge był radykałem. Podczas rozmowy powiedział on, wskazując laską na pałace i monumenty Paryża, że zanim przyjdą „nowe czasy”, muszą te wszystkie pałace, zamki i monumenty zostać najpierw zniszczone.

Ponura przepowiednia miała się spełnić. I jakież to „nowy czas” nadszedł? Republika stanu oblężenia, republika, która się lękała swojego własnego nazwiska...

Jeżeli obserwujemy na zimno, (co jest rzeczą nie łatwą), rozwój tragedyi czerwonego kwartału, to nasuwa nam się myśl, że główni aktorzy tego dramatu musieli mieć manię prześladowczą. Mówię naturalnie o manii prześladowania innych. Możemy tutaj wszędzie znaleźć błązna, ale błązna dyszącego żądzą krwi, który w swoim szaleństwie umie zaprowadzić metodę i być konsekwentnym.

Zajadłość komunardów zwróciła się przeciw wszystkim przeciw francuskiemu klerowi, który w historii tego kraju odgrywał zawsze ważną rolę. Aresztowania księży, mnichów i zakonnic były już od początku kwietnia ulubionem zajęciem komunardów. Z końcem tego miesiąca siedziało już około 200 księży w Conciergerie, w Mazas i La Sante. Pewną ilość kazano wkrótce wypuścić na wolność. Wybór zatrzymano jednak jako „zakładników”, aby ich za-



mienić na czerwonych, wziętych do niewoli przez błękitnych, albo nawet zemścić się na nich za grzechy, jakie Wersalczycy popełnili względem zwolenników komuny.

Tak naprzykład zaaresztowano arcybiskupa Paryża, Darboya, z postanowieniem powziętym z góry, ażeby go uwolnić tylko wtedy, gdy Thiers zgodzi się na wydanie Blanciego. Pan Thiers nie uznał jednak za rzecz słuszną zgodzić się na tę propozycję.

Uwięzienie arcybiskupa miało miejsce dnia 4-go kwietnia o 2-giej po południu. Równocześnie zaaresztowano razem jego generalnych wikaryuszów Lagard'a i Jourdan'a. W dalszym ciągu zaaresztowano księdza Surat, Petite Blondeau'a, Cerze'a, Allard'a, proboszcza Deguerry'ego z Madeleine, sześciu mnichów dominikańskich z St. Jean de Beauvais, jezuitów Ducoudraya, Canbert'a i Clerc'a, a tym wszystkim kościelnym jeńcom dodano jeszcze starego pana Boujeau'a, niegdyś senatora cesarstwa. Ale szła aresztowania zwracał się nie tylko przeciw księżom, rojalistom i bonapartystom, lecz także i przeciw republikanom, którzy nie hołowali komunie albo narazili się na gniew któregoś z tyranów ratuszowych. Z obu tych przyczyn dostał się do więzienia ogólnie szanownny republikanin z „Siècle” Gustaw Chaudey, aby później zostać haniebnie zamordowanym. Rozgniewało pana Rigaulta, że biedny Chaudey nie chciał go uważać za wielkiego człowieka, ale po prostu za skarykaturowanego Dantona.

Obywatel Rigault rozpierał się w prefekturze policji jak sułtan czerwonej grozy. Przyprawiony do niego arcybiskup z Paryża odezwał się w te słowa: „Kochane dzieci, nie jestem wcale politykiem; rozumiem się tylko na wypełnianiu powinności mego pokojowego urzędu. Pomyślcie tylko, kochane dzieci, co czynicie!” Prokurator komuny zmarszczył się i ze złością powiedział:

„Co za dzieci! Stoisz tutaj, obywatelu, nie przed dziećmi, ale przed władzą. Co do pańskiego kazania, to możesz sobie pan dać z tem pokój. Znamy to aż za dobrze; mówicie o tem całemu światu od osiemnastu wieków”. Arcybiskup odważył się mówić o nielegalności swojego aresztowania... „Zapominający o obowiązkach mnichu!” krzyknął do niego Rigault. „Pan, który zatwierdzałeś krzywo-przysięstwo na tronie, pan masz jeszcze zuchwałość mówić o legalności i prawie?”

Kilka dni później, gdy arcybiskupa przeniesiono do więzienia Mazas, poszedł doktor Demarquay, znany i kochany z powodu swej niezamordowanej opieki nad rannymi, do kacyka z prefektury policji z prośbą o uwolnienie prałata. „Jak pan możesz troszczyć się o coś podobnego?” — zapytał go Rigault ze śmiechem. — „Jeżeli mi pan nieda z tem spokojem, każę pana podkuć”. Kiedy jednak doktor ciągle jeszcze nalegał, zawołał rozgniewany Rigault: „Niemożliwe, obywatelu doktorze! Hasłem naszej rewolucji jest: Śmierć księżom!”



## VIII.

## Kankan zniszczenia.

Kto już obserwował waryatów, wie o tem, że z krzykami szaleństwa miesza się bezmyślne szczerbotanie, z grymasami gniewu, dziecinny śmiech.

Tak było i z komuną. Z dzikości wpadała w błazeństwo, z okrucieństwa w śmieszność i naodwrot. Kiedy jej popęd do niszczenia i palenia zatrzymywał się, zaczynał się bawić. Zniszczenie domu Thiersa było dziecinną zemstą głupiego chłopaka, zniszczenie zaś kolumny Napoleona, barbarzyńską głupotą dowodzącą, że komunardzi zupełnie zapoznawali ducha swej narodowości i że w komunie nie było miejsca na sławny, francuski „*esprit*”.

Pierwszą budowlą, na którą komuna wylała swój czerwony gniew, był kościół Bréa. Kościół ten wystawiono na pamiątkę generała tegoż imienia, haniebnie zabitego przez powstańców podczas czerwcowej bitwy 1848 r. To dzieło zniszczenia wyglądało tak, jakby mordercy generałów Thomasa i Le-comta, chcieli w ten sposób okazać swój szacunek mordercom generała Bréa. Następnie miała przyjść kolej na tak zwaną kaplicę prześlągania (za zamor-

dowanie Ludwika XVI), ale rozkaz zniszczenia nie mógł już być wykonany.

Już 3 kwietnia rzuciła komuna dekret oskarżający przeciw Thiers'owi i jego ministeryum. Równocześnie wydano dekret rabunkowy, na mocy którego miała własność członków rządu być opieczętowaną na tak długo, aż oskarżeni staną przed „sprawiedliwością ludową” aby się przed nią wytłomaczyć. Dlaczego? Dlatego że mieli dosyć patriotyzmu, ażeby przyjąć w najcięższych okolicznościach mandaty do prawowitego zgromadzenia narodowego Francji i występować przeciw czerwonemu szaleństwu. Dn. 9 maja dowiedziano się w Paryżu o proklamacyi, którą dzień przedtem wystosował pan Thiers do mieszkańców stolicy. W proklamacyi tej obiecywał on przebaczenie tym, którzy złożą broń oraz przyrzekał robotnikom wszelaką możliwą pomoc. Równocześnie jednak oświadczał, że powstanie zgniecie gruntownie. Dnia 10 maja albo jak wtedy datowano 21 Floréala—albowiem z pyłu zapomnienia wyciągnęli także naśladowcy z ratusza to historyczne cudło, republikański kalendarz z 1793 r.—dała komuna swoją odpowiedź na tę proklamacyę w tej formie, że komisya publicznego dobra kazała skonfiskować majątek Thiers'a, a jego dom na placu St.-George zrównać z ziemią.

Dn. 14 maja dokonano pod kierownictwem obywateli Fontaine i Andrieu, z których jeden był, że się tak wyrażę, ministrem domenów a drugi ministrem budowli, dziecinnego wandalizmu — zburzenia domu Thiersa. Zanim dom doszczętnie zburzono, zabrano obrazy, zasobną bibliotekę i bogate zbiory monetarne prawowitej głowy państwa. Jeden z członków komuny, chcąc się pochwalić wysokim wykształceniem podał dowcipny wniosek, ażeby zrabowane i pozdzierane z domu statuy brązowe oraz stare monety, posłać do mennicy, gdzie z nich wybiją po-  
kazną ilość sousów.

Poprzedniego dnia wydrukowano w *Journal officiel* dekret następujący:

„Zważywszy, że cesarska kolumna na placu Vendôme jest symbolem bydłącego gwałtu i fałszywej sławy, umocnieniem militaryzmu, zaprzeczeniem prawa międzynarodowego, policzkiem danym zwyciężonym przez zwycięzcę, nieustającą napaścią na jedną z trzech wielkich zasad francuskiej republiki: braterstwo,—rozkazuje komuna: „Kolumna na placu Vendôme ma być zrzucona”. Komentarz do tego dekretu dał obywatel Pyat w swoim piśmie „*Vengeur*”:

„Paryż zrzuci tego człowieka razem z jego piedestalem, który wystawił swojej dumie a na naszą hańbę, swojej tyranii a naszemu niewolnictwu, naszym napaściom na nas samych i na innych, wreszcie naszym zbrodniom przeciw wolności Francji i Europy. Rasa najbardziej zdobywcza, najbardziej wojownicza, ale także największa przyjaciółka pokoju daje tym czynem narodom zakład przyjaźni. *A bas la colonne!*”

Z tego punktu widzenia—to prawda—miał ten czyn swoją rację. Ale właśnie taki sposób zapamiętania był nawskroś nie francuski, tak dalece nie francuski, że właśnie to zwalenie napoleońskiej kolumny sławy, musiało dać do myślenia setkom tysięcy a może nawet milionom Francuzów. Mogła się wtedy zrodzić myśl, że komuna, która dokonywała rzeczy tak niesłychanie sprzecznych z istotą ducha francuskiego, musi być chyba poprostu „obcą intrygą”.

Za właściwego sprawcę zwalenia kolumny Vendôme, musi uchodzić malarz Gustaw Courbet, członek komuny, w swojej sztuce realista, w swojej polityce głupiec. Taki bowiem tylko człowiek mógł sobie pozwolić na wysłanie następującego listu do Niemców, na początku oblężenia Paryża: „Dajcie nam wasze armaty Kruppa! Chcemy je wraz z na-

szemi przelać w jedną armatę. Ta ostatnia armata paszczą swoją zwrócona w niebo, uwieńczona czapką wolności stanie jako wspólny posąg-kolos na placu Vendôme. Kolumna ta będzie należała do nas i do was; będzie ona kolumną ludów, kolumną dwóch na zawsze połączonych krajów Niemiec i Francji”. Aby tej niemiecko-francuskiej fantastycznej armacie egzaltowanego malarza zrobić miejsce, musiała paść kolumna Napoleona. Doprowadźmy więc do tego, aby komuna w której my sami przecież siedzimy, usunęła ten brązowy pał, rzecz z punktu widzenia malarskiego, nie ładną.

Istotnie doprowadzono do tego. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że i tutaj, tak, jak na każdym kroku historii komuny mamy do czynienia z plagiatem, z naśladownictwem sankiulockiej żądy niszczenia z 1793 r. Wówczas również „patryoci”, na czerwono farbowani, żądali zwalenia wież z Notre-Dame i wieży domu Strasburskiego twierdząc, że te „arystokratyczne, bezwstydne wieże“ kpią sobie z zasad równości.

Zwalenie kolumny dnia 16 maja otoczono najrozmaitszego rodzaju pompą. Widowisku przypałytrywało się mniej więcej około 20,000 ludzi. W tłumie opowiadano, że jakiś Anglik ofiarował 1,000 franków, ażeby jemu ostatniemu pozwolono wejść na balustradę kolumny, z kąd rozciągał się tak cudowny widok na najpiękniejsze miasto świata. Inny znów Anglik miał podobno ofiarować milion franków za sprzedanie mu spiżowego kolosu. O godzinie 3½ po poł., rozpoczęli inżynierowie dzieło zniszczenia, które szło naprzód z wielkimi przeszkodami. O godzinie 5½ poczęła się kolumna wahać, skłoniła się, oderwała od swojego cokołu i ranęła z głuchym hukiem na przygotowane pokłady piasku, chrustu i słomy. Podczas spadania oderwała się głowa ze statui Napoleona, stojącej na szczycie kolumny i potoczyła się daleko. Tłum wybuchnął krzykiem, któ-

ry mógł tak samo oznaczać radość jak i smutek; orkiestry zagrały marsyljanke, komunardzi przystrojeni w czerwone szarfy, chwyciwszy w ręce czerwone chorągwie, wstąpili na tułów zwalonej kolumny i wypowiadali czerwone mowy; weterani z czasów napoleońskich miotali kłatwy albo wylewali łzy, a tu i owdzie słyszano uwagę: „Jest to koniec legendy napoleońskiej!” Był to jednak tylko filozoficzny pogląd a nie fakt historyczny. Nie skończyła się we Francji, wiara w myt napoleoński, tak jak nie wygasła wiara rzymsko-katolicka. Rochefort, niegdyś hrabia, przyklasnął w swoim „*Mot d'ordre*” zwaleniu kolumny napoleońskiej i nawoływał lud do zniszczenia jeszcze jednego *Monument de depraveur*, to jest do spalenia na placu Vendôme książki *Histoire du consulat et de l'empire* A. Thiersa.

Widzimy, że fanatycy wszystkich religijnych jak i politycznych doktryn są bardzo skłonni do palenia. Marszałek Mac Mahon, w każdym bądź razie znał lepiej i lepiej umiał odczuć nastroj Francuzów, aniżeli aranżerowie spektaklu komuny. Otrzymałszy bowiem wiadomość o zburzeniu kolumny, odpowiedział nań rozkazem dziennym do żołnierzy, w którym pisał co następuje: „Kolumna Vendôme padła. To, co uszanował nawet nieprzyjaciel, zniszczyła komuna paryska. Ludzie, którzy nazywają się Francuzami, odważyli się wobec Niemców, patrzących na nas, zniszczyć ten dokument zwycięstw naszych ojców nad skoalizowaną Europą. Czy nieuczciwi sprawcy tej napaści na sławę narodową spodziewali się w ten sposób zniszczyć wspomnienia wojennych cnót, których pełnym chwały symbolem był ten posąg? Nie, wspomnienia, o których nam mówiła ta kolumna, będą dalej żyły w naszych sercach i podniesieni przez nie na duchu damy Francji nowy dowód miłości ojczyzny, oddania się i wolności”. To było powiedziane do Francuzów po francusku i całe postępowanie żołnierzy marszałka podczas rozpaczliwej walki, jaka się teraz rozpoczy-

nała o posiadanie Paryża, dało dowód, że zrozumieli oni te słowa i zastosowali się do nich.

Dnia następnego, t. j. 17 maja, odbyło się jedno z najważniejszych posiedzeń komuny. Chodziło mianowicie o przeprowadzenie dekretu, dotyczącego zakładników, a wydanego 7 kwietnia w 6 następujących artykułach: „1) każda osoba oskarżona o solidaryzowanie się z rządem wersalskim, ma być natychmiast postawiona w stan oskarżenia i uwięziona. 2) Sąd oskarżający ma być ustanowiony w przeciągu 24 godzin, aby powziąć wiadomość o przestępstwach, jakie aresztowanemu zarzucają. 3) Sąd rozstrzyga w przeciągu 24 godzin. 4) Wszyscy oskarżeni, którzy na mocy wyroku sądowego zostaną zatrzymani w więzieniu, stają się tym samym zakładnikami ludu paryskiego. 5) każde zamordowanie przez rząd wziętego do niewoli zwolennika paryskiej komuny sprowadza za sobą natychmiastowe stracenie potrójnej liczby zakładników, którzy na zasadzie § 4 pozostają w więzieniu i mają być losem oznaczeni. 6) Każdy jeniec wojenny ma być zaprowadzony przed sąd oskarżający, który rozstrzygnie, czy jeniec ma być puszczony na wolność, albo też zatrzymany jako zakładnik”.

Znowu nic innego, jak tylko plagiat cały ten elukubrat był, nie z tekstu ale z sensu swójego, odbiciem „prawa dotyczącego podejrzanych”, jakie konwent wydał w sierpniu roku 1793.

Sąd oskarżający, podzielony na cztery sekcye, rozpoczął natychmiast swoją działalność i zaliczył do kategorii niepewnych życia „zakładników” 36 biednych poczciwców z pomiędzy wiernych rządowi żandarmów i sierżantów miejskich, znajdujących się w więzieniu komuny. Był to tylko zamaskowany wyrok śmierci, akurat tyle wart, co werdykty wydawane we wrześniu 1792 r. podczas rzezi sprawionej przez „obywatela” Maillard.

Istnieje opowiadanie świadka, pana Rousse, który w drastycznej formie opisuje rządy w ministerjum sprawiedliwości obywatela Protota, delegata z ramienia komuny — oraz postępowanie obywatela prokuratora Rigault w pałacu sprawiedliwości. W obu tych miejscach postępowano wprawdzie nieformalnie i nieco za brutalnie, ale nie zbyt hałaśliwie. Pan Rousse próbował nawet odważnie stać w obronie arcybiskupa Darboy oraz adwokata Chaudey, redaktora gazety republikańskiej, którego aresztowano na skutek denuncjacji *Père Duchêne*. Obywatel Rigault, jak opowiada powyższy świadek, był człowiekiem małego wzrostu w wieku około lat 30, brunetem o gęstej brodzie, o surowym wyrazie twarzy, z szeroką czerwoną wstążką bramowaną złotem u kłapy surduta. Na pytanie przypadkowo zadane przez swojego gościa: „Ilu pan kazałeś zaaresztować księży?” — odpowiedział: — „Nie wiem dokładnie, ale w każdym razie jeszcze nie dosyć”. Na pełną niepokoju uwagę pana Rousse, czy nie należy obawiać się powtórzenia mordów wrześniowych 1792 roku, odpowiedział obywatel Rigault uspokajająco: „O, niech się pan nie obawia czegoś podobnego! Jesteśmy w zupełności panami i władcami ludu”.

Tak też było w rzeczywistości. Lud paryski słuchał poleceń i rozkazów swych władców z ratuśką z taką uległością, jak dobrze wytresowany pudel słucha rozkazów swojego pana. Dlatego to w nieporządku panował porządek, w szaleństwie metoda. Machina rządowa działała tak samo regularnie jak każdy inny rząd. Pomijając nieprzyjemności połączone z tym systemem rządzenia, że na przykład nikt nie mógł być pewnym żadnej godziny swojego życia, pomijając to, że mógł być zmuszonym do służenia w straży obywatelskiej i wypędzonym na kule błękitnych, albo jako podejrzany o sympatyę z wersalczykami, zostać aresztowanym i przyłączonym do kategorii zakładników, pomijając tę np. przykrość dla pobożnych, że kościoły były zam-

knięte albo zamienione na lokale klubów politycznych, wszystko to pomijając, można było za czasów drugiego oblężenia mieszkać w Paryżu całkiem przyzwyczajenie a nawet przyjemnie. To też wielu, bardzo wielu ludzi żyło sobie bardzo przyjemnie w dzień, a jeszcze przyjemniej w nocy. Weseli mężczyźni i wesole kobiety wracając z zabaw, które przeciągały się aż do brzasku, szli na pola Elizejskie, aby nacieszyć oczy widokiem strumieni ognia, które za sobą zostawiały w powietrzu, krzyżujące się po obu brzegach rzeki, bomby i granaty. Teatry były przepelnione i kiedy ze strony obwałowania grzmiały pioruny armatnie, publiczność zaśmiewała się na śmierć krotochwilami w rodzaju „Trzydzioba kaczką” i t. p. sztukami.

I czegoż to nie można się było napatrzeć na ulicach Paryża. „*La mère commune*” starała się gorliwie, ażeby nigdy nie zbrakło na widowiskach. Pewnego pięknego kwietniowego poranku urządzamy sobie „*Auto da fé*” na bulwarze Voltaira, u stóp posągu patriarchy Ferney'a. Ale nie jest to jakiś hiszpański akt wiary, lecz coś, co przystało na obywateli państwa Utopii. Wobec olbrzymiego tłumu ludu niszczymy gilotynę, „którą na nowo kazał przygotować tyran Thiers”, a szczerą przeklętego i morderczego przyrządu, który sztydzi sobie z braterstwa ludzkości, palimy uroczyście na stosie ułożonym specjalnie do tego celu. I na cóż potrzebna nam niewygodna maszyna doktora Guillotina, kiedy posiadamy prostsze i sprawniejsze o wiele karabiny. Każda zmiana księżyca przynosi nam coraz rozmaitsze widoki. Widzimy zniszczenie domu na placu Św. Jerzego, przyglądamy się zwaleniu kolumny Vendôme, a później 17 maja cieszymy się widokiem wylatującej w powietrze fabryki amunicji na polu Marsowem — była to bezwątpienia, szatańska złośliwość błękitnych! — jesteśmy świadkami pogrzebu urządzonego przez komunę więcej niż setce ofiar tej eksplozji z całym majestatem żałoby i zemsty. Czyż

wystawowe okna sklepów nie są codziennie przepelnione karykaturami tak drastycznymi, że na ich widok pod farbowanym rumieńcem kokot czerwienia się twarze? Czyż nie śpią się codziennie dowcipne i wyuzdane słoweczka? Cóż może być porównane z dowcipem obywatela prokuratora komuny, który pewnemu księdzu, proszącemu go o pozwole nie odwiedzenia przyjaciół uwięzionych w Mazas, dał następującą kartę wejścia: „Pewien N. N., który się podaje za sługę pewnego Pana Boga, może wejść i wyjść“.

Dalej możemy sobie przecież pójść do sal w Tuilleryach na koncerty urządzone dla ludu przez komunę. Albo też, jeżeli nam się spodoba, możemy połączyć przyjemne z pożytecznym, bawić się i zarazem ćwiczyć w obowiązkach obywatelskich, idąc do jednego z klubów odbywających swoje posiedzenia w dawnych kościołach, gdzie co wieczora jest hucznie i wesoło, gdzie są damy, ale to, powiadam wam, damy jakie musiały chyba być w pandemonium. Większość tych klubów doprowadziła swoją liberalność i tolerancję do szczytu. Tak np. u wejścia do kościoła Nicolas des Champes przy ulicy St. Martin zawieszono porządek dzienny obrad klubowych, który brzmiał jak następuje: „1) Od dzisiaj będą się odbywały w jednym lokalu posiedzenia klubowe i nabożeństwa, 2) Ażeby panowała zgoda, będą księża przemawiali do wiernych: obywatele, mówcy klubowi zaś będą mówili: bracia moi! 3) W zakrystyi będzie urządzona gospoda, aby obywatele, którzy wysłuchali mszy, mogli, nie opuszczając kościoła, czekać na otwarcie posiedzenia klubowego. 4) Mówcom klubowym jest zakazane wymawiać w swoich przemówieniach przestarzałego słowa Bóg.“

Pewnego wieczoru stała na porządku dziennym tego „cierpliwego” klubu teza: „Pogarda praw i zwalenie wszystkich urzędów jest pierwszym obowiązkiem wolnego człowieka.” Wieczorem, dnia 14

maja w tymże samym kościele, Nicolas des Champes, słyszał pewien Niemiec na własne uszy ciekawy odczyt jakiejś emancypantki, traktujący o prawach kobiety. Referentka doszła do następujących wniosków: „Mężczyźni żyją po to, ażeby zarabiać wiele, bardzo wiele pieniędzy i starać się tylko o pieniądze; kobiety zaś żyją po to, ażeby po 1) pieniądze te wydawać, 2) mieć jaknajmniej dzieci. Dzieci bowiem obok rządów są największym nieszczęściem na ziemi. Im więcej jest ludzi, tem bardziej dzieli się własność, tem bardziej rośnie nędza. My Francuski mamy tę zaletę przed kobietami innych narodowości, że nie jesteśmy tak płodne, jak np. Niemki i Angielki, które, rzecz zrozumiała, muszą być nudne i kosztowne! „W tym samym czasie, może nawet tego samego wieczoru był jakiś francuski świadek obecny na posiedzeniu klubu w kościele St. Jacques. Panowała tu już o wiele mniejsza tolerancya. Nieścierpiano-by tu Boga, księdza i nabożeństwa. Kropielnica u wejścia do kościoła zawierała tabakę zamiast poświęcanej wody. Ołtarz służył za bufet i był zastawiony szklankami i szklankami. Statuę Matki Boskiej w bocznej kaplicy ubrano w suknię markietantki i włożono jej do ust fajkę. I tutaj także przeważała o wiele liczba obywaterek niż obywateli, „i wielka część tych patryotek chlubiła się słusznie z dumą swojemi nosami, których czerwoność godną była powiewać jako chorągiew na dachach hotelu de Ville.” Z kazalnicy, którą zamieniono na trybunę dla mówców, grzmiała jakaś emancypowana jejmość przeciw obrzydliwej instytucji małżeństwa. Wśród wielkich oklasków argumentowała mówczyni: „Małżeństwo, wielce ukochane współobywatelki, jest największym błędem starego społeczeństwa. Wyjść za mąż i być niewolnikiem jest to jedno i to samo. Chcecie być niewolnikami? (Nie! Nie!) W prawdziwie wolnem państwie nie może być małżeństwo cierpiane, powinno się je uważać za zbrodnię i su-

rowo zakazać. Nikt nie ma prawa, pozbawiając się swojej własnej wolności, dawać współobywatelom zły przykład. Łatwo to można udowodnić, że małżeństwo nie jest niczem innym, jak tylko ciągłą napaścią na dobre obyczaje." (Salwa oklasków). Trzeci licznie odwiedzany klub kobiet odbywał swoje posiedzenia w kościele Św. Ambrożego. Tutaj głównym tematem było „zupełne usunięcie religii,” o czym też ciągle rozprawiły, zwaryowane gąski. W klubie kościoła Św. Eustachego zgromadzały się natomiast kobiety, stosunkowo konserwatywne, które między innymi atakowały też i rozporządzenia komuny.

Rok 1793 miał swoje „Pończoszki Robespiera” i swoje „furye gilotyny”; rok 1871 miał swoje „amazonki” i swoje „markietanki komuny.” Stare błazeństwa powracają zawsze w nowym przebraniu. Historia świata byłaby wieczną i posepną tragedią, gdyby nie była równocześnie wesołym karnawalem. Nie potrzeba chyba mówić o tem, jakiego rodzaju kobiety lubiały występować w roli amazonek i markietanek, których podobno blisko 10,000 brało udział w ostatnich rozpaczliwych walkach komuny z błękitnymi. Byłoby to jednak kłamstwem, gdybyśmy twierdzili, że w szeregach amazonek znajdowały się tylko tego typu kobiety. Zielonogłowy entuzjazm i zatwardziała gorycz staropanieńska zamieniały nieraz kobiety ucziwe na amazonki. Można to powiedzieć np. o młodej Rosyance Demitriewej, która dała pierwszą pobudkę do zbrojenia się kobiet w wielkim stylu. To samo należy powiedzieć o kobiecie starszego wieku, nauczycielce Luizie Michel, której bohaterstwo zjednało tytuł Joanny d'Arc komuny. Później przed sądem wojennym w Wersalu wykazała ona raz jeszcze niezłomność swego fanatyzmu. Gdy kobieta raz już przekroczy szranki kobiecości i zacznie się obracać w regionach ostateczności, potrafi ona prześcignąć w szaleństwie i dzikości mężczyznę. Wsku-

tek tego często amazonki z roku 1871 stawały się czystymi albo jeszcze częściej nieczystymi megierami. Pewnego wieczoru kwietniowego weszła do sklepu przy ulicy Montreuil jakaś kobieta z okrwawionym karabinem przewieszonym przez ramię. Obecna w sklepie obywatelka, która znała wchodzącą, rzekła do niej:

— Czyżby to nie było lepiej, aby pani została w domu i pielęgnowała swoje dzieci?

Amazonka komuny rzuciła się w tej chwili na kobietę, ugryzła ją w szyję, skoczyła kilka kroków w tył, zerwała z wściekłością karabin z ramienia, aby wypalić do przeciwniczki. Wtem nagle twarz jej okryła się białością, broń wypadła z ręki, amazonka padła na ziemię i zmarła. Wściekłość spowodowała pęknięcie arteryi.

Jeżeli chcecie poznać stan obyczajności lub nieobyczajności pewnej epoki, pewnego miejsca, to zapytajcie o kobietę. Jaka kobieta, takie społeczeństwo. Paryż za czasów komuny był jednym wielkim domem zabawy. Czytajcie opisy świadków naocznych jak: Baccioccio, Sznajder i Mendès. Ten ostatni pisze w swoim dzienniku, że jeden z jego przyjaciół oburzony zuchwałością z jaką występował święcił swoje haniebne tryumfy na bulwarach, rzekł do niego następujące ponure słowa:

— „Kiedy Paryż zupełnie już będzie zburzony, kiedy tę przeklętą ziemię pokryją tylko zgłiszczca i ruiny jego domów, pałaców i posągów, wtedy z niezmiernego, olbrzymiego miasta śmierci wyłoni się upiór-kobieta, szkielet ubrany w opadającą spódnicę, obnażony aż po żebra, z czaszką przystrojoną fałszywymi lokami i błyszczącymi klejnotami. Ta falująca wśród rumowisk i gruzów głowa kobieca będzie się od czasu do czasu oglądała, szukając czy nie idzie za nią w tę pustkę jakiś zmartwychpowstały rozpustnik. Ten przerażający upiór będzie przeklętym „cieniem wszetecznego Paryża.”

## IX.

„Oh, jaka krwawa rzeź się rozpoczęła!“

Tymczasem wrzała dalej wojna domowa i z dnia na dzień, z godziny na godzinę zwiększała się jej złość i okrucieństwo.

Ale czyż nie znaleźli się z jednej i z drugiej strony ludzie, którzyby na tyle zdrowo umieli czuć i myśleć, by zdołali za wszelką cenę t. j. za cenę wzajemnych ustępstw postawić ojczyznę po nad partycję i położyć koniec walce pełnej grozy? Nie. Albo przynajmniej ludzie ci nie mieli żadnych wpływów. Siłę mieli z jednej i z drugiej strony fanatycy, którzy o niczem innem nie chcieli wiedzieć, jak tylko o zniszczeniu przeciwnika.

Nie udała się próba, jaką w dniu 9 kwietnia zrobiła *Union republicaine*, związek rozumnych republikanów, dążąc do połączenia się z umiarkowanymi członkami komuny pod sztandarem programu: „Państwowa jedność Francji i municypalna jedność gmin.” Program ten miał być podstawą do zawieszenia broni i układów pokojowych między komuną a zgromadzeniem narodowym. Ultra-rojaliści i klerykali, którzy tworzyli większość zgromadzenia, nie

chcieli wcale słyszeć o tym programie. Ci zacofańcy krzyczeli teraz znowu tak jak w czerwcu 1848 r. krzyczeli zwolennicy ich poglądów: „Musimy już raz zrobić koniec z tą rewolucją!” A głowa władzy egzekucyjnej pan Thiers był całkiem stanowczo tego samego zdania. Przyrzeczenie ogólnej amnestyi w razie zdobycia Paryża, było najdalszym ustępstwem, na jakie się zgodził. Tylko mordercy Thomasa i Mecomta mieli być wyjęci z pod tej amnestyi.

Także wystąpienie paryskich wolnomularzy z zamiarem sprowadzenia zgody i porozumienia chybiło zupełnie celu, zwiększając tylko jeszcze bardziej i bez tego już wielkie zgromadzenie czerwonego kwartału. Dnia 29 kwietnia zgromadzili się przed ratuszem bracia wolnomularze w liczbie od 8,000 do 10,000, aby przez usta jednego z braci, mówcy Thirifocq'a, zamienić z komunardami Beslay, Meillet i Payat bardzo dobrze obmyślane i dźwięcznie przedeklamowane mowy o tem, jak piękną rzeczą jest pragnienie powszechnego pokoju i braterstwa ludzkiego. Kiedy następnie szli w uroczystej procesyi ze swojemi chorągwiemi, fartuchami i kielniami, zdążając przez całe miasto ku obwoławaniu, aby na nim zatknąć biały sztandar pokoju z napisem *Aimons-nous!*, można było wtedy raz jeszcze ze słusnością zauważyć, że od wzniesłego do śmiesznego tylko jeden krok. Wolnomularze, trzeba im to przyznać, zrobili ten krok z całą powagą, z typową francusko-teatralną gracyą. Całe widowisko skończyło się tem, że kula, lecąca z lufy armatniej błękitnych, rozdarła sztandar pokoju wraz z jego miłości pełną dewizą.

Jeszcze w ostatniej chwili uczyniono próbę porozumienia się, a mianowicie w czasie, kiedy komuna rozpoczęła już śmiertelną walkę. Około 20 maja nawet najczerwieńsi z czerwonych nie mogli tego nie zrozumieć, że wszelka nadzieja na zwycięstwo jest złudzeniem. Wyżej wspomnianego dnia



upełnomocniła komisya dobra publicznego delegatów *Union republicaine* do zaproponowania w Wersalu zawieszenia broni na zasadach programu, w którym poprzednio mówiliśmy. Delegatom jednak udało się otrzymać audyencyę u Thiersa dopiero dnia 22 maja. Lecz było to już za późno, gdyż błękitni wdarli się do miasta, wewnątrz którego wrzała walka z taką zaciekłością, że nawet przy najlepszych chęciach nie można było myśleć o tem, ażeby jej położyć koniec. Zresztą, chęci tych nie było ani w Prefekturze w Wersalu, a tem mniej w ratuszu paryskim. W Wersalu dlatego nie, ponieważ zwycięstwo błękitnych nie ulegało już kwestyi; w Paryżu dlatego nie, ponieważ widziano przed sobą tak, czy tak zgubę, chociaż starano się okłamywać siebie i innych, że jest jeszcze możliwy ratunek, a nawet tryumf.

Ostatni tydzień majowy przyniósł katastrofę i zaczerwienił zielone święta, jakich dotąd jeszcze nigdy Paryż nie widział.

Idąc wzdłuż obwałowania z lasku bulońskiego przez bramę La Muette, widzimy w kierunku ku Passy, po prawej ręce park i zamek La Muette. Gdy już wojna miała się ku końcowi, założył w miejscu tem swoją główną kwaterę naczelny wódz komuny, generał Dąbrowski. W miarę jak oblegający coraz bardziej zbliżali się do wału, stawiał im generał zacięty opór. Nie długo jednakże udawało mu się środkami, jakimi rozporządzał dawać sobie radę z silniejszą artyleryą błękitnych. Przewaga ta dała w d. 20 maja Polakowi do zrozumienia, że linia wałów mimo, iż dotąd wcale nienaruszona, dłużej się nie da utrzymać i dlatego należy ją opuścić od Porte Maillot w dół aż do Porte St. Cloud. Ażeby jednak móżdż się jeszcze uparciej bronić, postanowił generał oprzeć tę drugą linię obronną o nasyp kolei obwodowej, która w tem miejscu była bardzo odpowiednio dla jego celów położona

i zbudowana. Dnia następnego nakazał Dąbrowski odwrót na tę linię.

Gdyby się odwrót odbył w należytem porządku i gdyby czerwoni potrafili się byli odpowiednio za wałem kolei obwodowej urządzić, mogliby prawdopodobnie przez wiele jeszcze dni, a może nawet tygodni bronić zachodniej części miasta od wdarcia się błękitnych. W takim jednak wypadku musiałaby katastrofa (jak to słusznie wnioskowano) przyjąć jeszcze straszniejsze rozmiary, gdyż żądza niszczenia czerwonych miałaby więcej czasu do wprowadzenia w czyn swoich zamiarów. Już poprzednio wskazywaliśmy na istnienie takich zamiarów. Należy jednak tutaj zauważyć, że nigdzie, nawet przy śledztwie sądu wojennego w sprawie komuny nie udowodniono, aby czy to w łonie komuny, czy też w komisji bezpieczeństwa publicznego, albo centralnego komitetu wypracowano formalny plan systematycznego zniszczenia Paryża w razie klęski, plan podminowania, wysadzenia w powietrze i spalania stolicy Francyi. Że jednak podobna tendencja istniała i to w głowie jednego człowieka, na to mamy dowody czarne na białem i to dowody z pierwszej ręki, bo ze świadectwa kilku członków komuny. Długa jednak wiedzie droga od szalonego wyobrażenia półgłówka, aż do jego wykonania. Razem wszystko to wzięwszy jest prawdą historyczną to, że szalona myśl zniszczenia miasta, poprzednio już hodowana w głowie tego lub owego fanatyka, przyjęła dopiero swą istotną, systematyczną formę w chwilach rozpaczliwej walki a dalej, że pochodni nasyconych naftą użyto najpierw jako środka strategicznego. Mówiąc to jednak wcale nie myślimy zaprzeczać, że pochodnie te, raz dostawszy się w ręce takich ludzi jak Ferré i Rigault zamieniły się na żagwie morderczego pożaru i, że ci, oraz im podobni zbrodniarze, posłuchali dyabelskiego podszeptu, niszczenia pałaców i domów Paryża dla samego zniszczenia.

Gdyby tym zbrodniczym szaleńcom dano czas, zniknąłby Paryż w jednym morzu ognia.

Nie było jednak na to czasu.

Wczesnym rankiem, w poniedziałek dnia 22 maja obudził Paryżan przerażający huk armat, zbliżający się od strony zachodniej. Kto wybiegł na ulicę, ujrzał biegnące gromady ludzi i słyszał wołania: „Błękitni są w mieście. Wersalczycy wdarli się do miasta.” Albo: „Czerwone pludry są tutaj. Jesteśmy straceni.” Albo: „Biją się przy wiadukcie Auteuil i na Polu Marsowem.” Grzmotom dział z Zachodu odpowiadał huk armatni od strony północno-wschodniej. Baterie na Montmartre rzucają bomby w kierunku łuku tryumfalnego. Nowe gromady ludzi, nowe okrzyki trwogi, wściekłości, rozpacz. Wreszcie ogólny okrzyk: „Barykady!”

Na bulwarach kilku przychodniów, śpiesznie idących, magazyny i gospody zamknięte. Budowa barykad rozpoczyna się na wszystkich ulicach, prowadzących w kierunku placu okrągłego, na którym wznosi się łuk tryumfalny. Oficerzy przebiegający na przodzie zgrzytliwe słowa komendy, gorączkowa działalność mężczyzn, kobiet i dzieci wlokących kamienie brukowe i inne materyały do barykad. Do mazał armat zaprzęgają się i biegiem ciągną je amazonki, wysoko podkasane z zaciekłością na białych twarzach, w czerwonych kapturach na rozsypanych włosach. Przechodniów, którzy nie mają ani surdutów straży obywatelskiej, ani bluz robotniczych, zmuszają w sposób mniej lub więcej grzesny, lub grubiański do noszenia kamieni.

— Nie prawdaż, panie, że pan będziesz na tyle uprzejmy, nieco nam pomódz?

Można było słyszeć i takie zaproszenia:

— Obywatelu, bądź tak dobrym nie szpiegować nas, weź się do noszenia kamieni, albo ci zdruzgoczę czaszkę.

Błękitni znajdowali się więc w mieście. W jaki się to stało sposób? Czyżby istotnie spełniła się

przepowiednia Jules Vallès, że jakiś z generałów otworzy za pieniądze tę, albo ową bramę Wersalczykom? Nie. Ich zwycięstwo, to jest możliwość wdarcia się do miasta, była niespodzianką nawet dla wojsk rządowych. Drugie obleżenie Paryża skończyło się niespodziewanie szybko, dzięki odwaznej stanowczości jednego prostego obywatela.

Oblegający doprowadzili swoje podkopy aż pod sam wał. Spodziewali się oni do wtorku 23 maja zrobić kulami wyłom w obwałowaniu i wtedy dopiero przystąpić do szturm. Nie wiedzieli jednakże o tem, że przewagą ich baterii nad działami przeciwnika uniemożliwia czerwonym dłuższe pozostawanie na pozycji przy wałach, i że wskutek tego Dąbrowski nakazał odwrót aż do kolei obwodowej. Nie wiedzieli oni też o tem, że odwrót odbył się w nieporządku i że żołnierze komuny, zamiast umocnić się na nowej pozycji, odeszli ze stanowisk, aby w niedzielę zabawić się w szynkach Auteuil i Passy. W takich okolicznościach opuszczono i opróżniono obwałowanie, podczas kiedy nasył kolejowy był bardzo słabo, albo nawet wcale nie ufortyfikowany.

Czerwone pludry stojące na straży przed bastyonami bramy St.-Cloud, ujrzeni na wysokości obwałowania mężczyznę, ubranego po mieszczańsku. Mężczyzna dawał w kierunku żołnierzy znaki białą chustką. Był to obywatel Jules Ducatel podurzędnik miejskiego zarządu kanalizacyjnego. Z narażeniem własnego życia użył on odpowiedniego momentu, aby oznajmić wojskom rządowym że teraz bez oporu mogą przejść obwałowanie. Kapitan inżynier Garnier, który kierował w tem miejscu robotami oblężniczymi, zauważył również dającego znaki mężczyznę, nie zaufał jednak znakom, myśląc, że jest to podstęp wojenny przy pomocy którego czerwoni chcieli zwabić błękitnych na minę. Ponieważ jednak Ducatel, zagrożony był każdej chwili ze strony żołnierzy komuny, którzy zauważywszy go mogli na

miejsu postrzelić, a mimo to machał w dalszym ciągu chustką, zbliżył się do niego oficer na odległość z której mógł być słyszany, zapytał o co chodzi i dowiedział się o stanie rzeczy. Garnier, zapewniwszy się przez zbadanie terenu o prawdziwość słów Ducatela wraz z kapitanem marynarki nazwiskiem Tréves, który właśnie przypadkowo znajdował się w podkopach, zadeptywał tę niespodziewaną nowość do Wersalu. Uwiadomiono również natychmiast dowódców tych części wojsk, które stały w pobliżu, rozkazując im jeszcze przed godziną 4 rozpocząć odpowiednie działania. Dywizya Bergé owładnęła bramą St.-Cloud, dywizya Berthaut zajęła przestrzeń pomiędzy obwarowaniem a nasypem. Następnie przesunięto latające kolumny wewnątrz wałów w kierunku północnym, w celu opanowania bram w Auteuil i Passy, przez które później wdarły się wojska generała Ladmirault, stojące w pogotowiu nazewnętrz. Nieco później wkroczył do miasta od strony południowej przez bramę wersalską i Vanves korpus Cissej. Jeszcze ciemność nie zapadła całkowicie, kiedy wewnątrz obwałowania od strony miasta, znajdowało się już około 80,000 wojska rządowego, t. j. trzy korpusy generałów Donay, Ladmirault i Eissey. Musiało się tego niedzielnego wieczora wedrzeć wielkie rozluźnienie w szeregi czerwonych. Opór z jakim się spotkali błękitni był tak nieznaczny, że mogli się jeszcze tego samego wieczora zdecydować na dalsze posuwanie w głąb miasta. Ciemność udogodziła dalsze zamachy wojsk rządowych. To też wkrótce błękitni mieli w swoim posiadaniu zamek La Muette, Trocadero, łuk tryumfalny, pole marsowe i całą dzielnicę Vaugirard. Zdziwieni czerwoni próbowali stawić opór na Trocadero i przy łuku tryumfalnym, ale nie mogli sobie dać rady z przeważającą siłą. Przy łuku tryumfalnym zaskoczono ich podczas budowania baterii. Błękitni zwrócili natychmiast działa w kierunku pól Elizejskich i posłali kule aż do pałacu Przemysłu i Placu Zgody.

Na pozdrowienie to odpowiedzieli czerwoni strzałami, jakie z baterii wystawionej na tarasie Tuilleryów leciały wzdłuż pól Elizejskich aż do łuku tryumfalnego.

Wewnątrz miasta słyszano dobrze ten duet armatni, ale ludzie przyzwyczajeni już od całych miesięcy do takiej muzyki kładli się spać, nie przezuwając nawet, że błękitni znajdują się wewnątrz obwałowania. W dzielnicach zachodnich po prawej stronie Sekwany, dokąd pod osłoną nocy udało się dotrzeć czerwonym, przyjęła ich ludność jako oswobodzicieli z głośną sympatją i radością. Było to całkiem zrozumiałe. Mniej jednak zrozumiałe było to, że żołnierze rządu mordowali już teraz bezlitośnie wszystkich czerwonych, których im się udało złapać, nie tylko nie powstrzymywani w tym szale morderczym przez oficerów, ale nawet przez nich zachęceni. Wszystkich, bodaj na pół porządnych ludzi w Europie, przeraziły okrucieństwa i zbrodnie, jakich dopuszczali się czerwoni w rozpaczliwej walce o komunę. Ale ten, całkiem zrozumiały, wstręt powinienby się też zwrócić i w stronę drugą. Gdyż nie tylko czerwoni zwyciężeni, lecz także i błękitni zwycięzcy postępowali sobie jak dzikie bestye. Nie, nie tak, ale tak dziko i okrutnie, jak tylko człowiek a nie zwierzę potrafi zaleść. I znowu, jak to bywało zawsze i wszędzie, gdzie się ze sobą poczęły ścierać żywiołowe popędy i namiętności ludzkiej bestyi, pokazało się tego straszliwego tygodnia w Paryżu, czem jest właściwie okrzyczana cywilizacya chrześcijańska.

Przyjemny był ranek dnia 22 maja dla mieszkańców Paryża! Od Vaugirard na południu aż do Montmartre i La Villette na północy, od Quai d'Orsay i do Père Lachaise na wschodzie biegł okrzyk grozy: „Wersalczyce są w mieście!” Ale jakby w odpowiedzi na ten krzyk słyszeć się dawało po ulicach głośne nawoływania „Do bronii! Na barykady!” Z tysiącem okrzyków i nawoływań, hasel

i alarmów mieszało się dudnienie bębnow, sygnały rogów, wycie tysiąca dzwonów na wieżach, skrzywienie jadących dział, „kaszel” moździerzy, syk bomb, grzechot karabinów — i wszystkie te głosy splątały się w chaotyczny kłęb, w jeden głuchy, nie artykułowany, denerwujący ryk. Można było pomyśleć, że słyszy się śmiertelne rżenie miasta — olbrzymia.

Sprawy nie zaszły jednak jeszcze tak daleko. Czerwona chorągiew nie chciała się tchórzowsko i gnuśno skłonić przed trójkolorową. Nie, podtrzymywano ją do ostatecznej granicy możliwości, tak długo jak długo węgole żywe ramię będzie ją mogło podtrzymać. Tylko historycy niemieckich dworów, ludzie bez trzewi, albo liberałowie z najwyższego pozwolenia, mogą zaprzeczać, że tutaj walczo no o złą sprawę z odwagą gotową na śmierć, z jaką nigdy nie walczo no bardziej bohatercko za lepszą sprawę.

Delegat wojenny Delescluze wydał z samego rana odezwę, w której wzywa do oporu, chociażby przyszło walczyć na noże. Dziwny to dokument ta odezwa, złożona z niezaprzeconych prawd i groteskowych kłamstw. Wszystko na tę nutę: „Do broni, obywatele, do broni! Wiecie że czeka was jedno z dwojga: zwycięstwo, albo śmierć. Jeżeli nie zwyciężycie albo nie zginiecie, wpadniecie w niełitościwe ręce pachołków księżych z Wersalu, tych szubrawców, którzy oddawszy Francję Prusakom „chcą nam teraz zapłacić za swoją zdradę. Do broni! Na barykady!”

Komuna panująca jeszcze nad centrum miasta oraz nad przedmieściami leżącymi na północy i wschodzie, podjęła więc walkę o swój byt albo niebyt. Nie napróżno nawoływali oni do broni. Około 50,000 ludzi posłuchało wezwania, między nimi całe bataliony amazo nek. Nawet zwycięzcy, pisząc historię zwyciężonych, musieli z niechęcią przyznać ten fakt, że barykady, na których walczyły kobiety były bronione po większej części najuporczywiej. Na wielu

z tych zaimprovizowanych cytadel, zdobytych wreszcie po długiej walce przez wojska, znajdowano zwłoki pięknych dziewcząt ze śmiertelną raną w młodej piersi, z oficerskimi epoletami na ramionach. Zwyciężone i schwymane do niewoli bojowniczo komuny, nie dawały za wygraną walcząc jeszcze pięściami i zębami, aż je zastrzelono.

Nieoczekiwane wdarcie się błękitnych do miasta popsulo wiele w systemie obronnym czerwonych. Ponieważ budowę barykad można było rozpocząć na niektórych ulicach dopiero 22 maja, budowa ich z powodu zbyt niego pośpiechu nie mogła być dobrze wykonana. Kilka jednak głównych punktów było dosyć dobrze przygotowanych do stawienia czoła atakom. Tak np. na lewym brzegu rzeki leżąca dzielnica Panteonu, na prawym brzegu hotel de Ville, plac Vendôme, Chateau d'Eau, dalej Butte Montmartre, Butte Chaumont nad Belleville'm i znany cmentarz Père Lachaise, położony w górze między pasem kolei obwodowej, a obwałowaniem.

D. 22 maja przestała istnieć komuna jako taka, gdyż jej członkowie udali się na najrozmaitsze pozycje w poszczególnych dzielnicach. Nie zbrali się oni już więcej ani razu na gromadne, pełne posiedzenie. W ratuszu pozostała tylko delegacja do spraw wojennych i komitet publicz nego bezpieczeństwa. Ostatni numer *Journal officiel* wyszedł 23 maja. Ostatnią odezwą komuny, która jednak krążyła tylko z ręki do ręki, było znane oświadczenie datowane „3 prairiala 79 roku,” a podpisana przez Delescluze, Régère, Rouvier, Johannard, Vesinier, Brunel, Dąbrowski: „Obywatel Millière na czele stu palaczy (fusèens) podpalali domy podejrzane, (to znaczy domy z których można się było spodziewać jakiegoś nieprzyjacielskiego aktu) i publiczne posągi na lewym brzegu. Obywatel Derreure ze stu palaczami pójdzie do pierwszej i drugiej dzielnicy, obywatel Billioray z inną setką do 9 i 10 dzielnicy. Obywatel Vesinier z pięćdziesięciu palaczami ma oddane

bulwary od Madeleine aż do Bastylii. Aby zapewnić skutecznienie tych rozkazów, wyżej wymienieni obywatele wejdą w porozumienie z szefami barykad". Przeciw prawdziwości tego dokumentu podniesiono jednak bardzo ciężkie zarzuty, tak ciężkie, że mogą go uznać stanowczo za dokument wątpliwej wartości, a nawet, wedle mojego osobistego przekonania, jestem skłonny uznać go za papier później sfabrykowany. Natomiast co do osławionego lapidarnie—lakonicznego rozkazu Ferré: „Spalić natychmiast ministerjum finansów!", to chociaż ze strony czerwonych dokument ten uważano za podsunięty, będą go uznawał za prawdziwy tak długo, aż fałszywość podpisu zostanie udowodniona.

Gdyby sposób wypowiedzenia się hrabiego i duchownego Sieyès'a za śmiercią Ludwika XVI (*La mort sans phrase*) nie był apokryfem, mielibyśmy tutaj do czynienia z zupełnie analogicznym frazesem:— „poprostu spalić!" Ale czyż z tego rozkazu palenia, wydanego przez obywatela Ferré, nie dźwięczy dla słyszących uszu coś w rodzaju przepowiedni? Coś, co wszysktem tem „wielkim księgom" w europejskich ministerjach skarbu zagraża? Czyż nie może się stać to, że nasi potomkowie dojdą do przekonania, iż nie są właściwie odpowiedzialni za grzechy swoich przodków? Nie odpowiedzialni za niesumienne zaciąganie długów przez nasze państwa, za to egoistyczne życie kosztem przyszłości, za to haniebne obciążenie nie istniejących jeszcze pokoleń? Czyż zasada całej dzisiejszej nauki skarbowej to znaczy nauka gospodarstwa długów, która wychodzi na dobre tylko rabusiom złotego cielca, nie doprowadzi kiedyś do logicznej konkluzji: „księga naszych długów powinna być zniszczona". Czyż w takim razie europejskie *Faites Ftflambez nances!* nie musieliśmy uznać i pozdrowić jako słuszny wyrok Nemezys?...

X.

## Czerwony upiór ginie.

Marszałek Mac Mahon, jako kierownik oblężenia Paryża i pokonania komuny, okazał się niewątpliwie dzielnym generałem, w każdym razie dzielniejszym, niż podczas wojny w roku 1870. Ponieważ komuna miała w swych rękach i posiadaniu stolicę z jej niezmiernymi środkami, trzeba było do zdobycia Paryża sił, których nie można było stworzyć z niczego, gdyż z niczego jeszcze nikt nigdy nic dobrego nie stworzył. Poprzednio już wspominaliśmy, żąd wziął marszałek większość swojego wojska. Po ostatecznem podpisaniu traktatu pokojowego między Francją i Anglią, traktatu pokojowego we Frankfurcie i po ratyfikacji tego traktatu przez zgromadzenie narodowe w Wersalu w dniu 13 maja przyплыw żołnierzy, powracających z niewoli niemieckiej był tak wielki, że marszałek miał możność ostatecznie zorganizować swoją armię. Najpierw sformował on trzy korpusy, dwa korpusy piechoty i jeden kawalerii *Ladmirault, Eissej, Du Bar rail*, później przybyły jeszcze dwa dalsze korpusy armii (*Donay i Clinchaut*) a ostatecznie jeszcze jeden

korpus rezerwy, składający się z trzech dywizji pod dowództwem generała Vinoy. Tak uzbrojony miał marszałek dosyć sił, aby przystąpić do rozstrzygających działań, które też jak, to widzieliśmy, nazaczył na 23 maja.

Wypadki 21 maja przyspieszyły termin ataku ostatecznego. Z Mont Valerien kierował generał wkroczeniem wojsk do miasta. Kiedy już wzięto Trocadero, pole Marsowe i szkołę wojenną, udał się naczelny wódz w środek swoich pułków. W nocy wydał on postanowienia i rozkazy dotyczące wielkiej walki ulicznej, która dnia następnego rozpoczęta, miała trwać całych dni siedem.

Dnia 22 maja był ranek świeży, jasny, słoneczny. Zdawało się, że spokój i piękno, jakie w dniu tym płynęło z przyrody, urąga cywilizacji ludzkiej, która zezwala na okrucieństwa jakie tego właśnie dnia miały się w Paryżu rozpocząć. Z obu stron prowadzono z jednaką zaciętością siedmiodniową bitwę. Różnica na tem polegała, że w szaleństwie błękitnych był system, kiedy czerwoni walczyli z rozpaczą.

Marszałek obawiał się chwycić byka za rogi, to znaczy obawiał się przedsięwziąć masowy atak na potężnie zabarykadowane centrum miasta. On i jego generałowie wzięli się w inny sposób do rzeczy. Mając mocną podstawę operacyjną, przeszli oni do całego szeregu ataków koncentrycznych planowanych z jasno określonym celem. Postanowili więc najpierw obejść najmocniejsze „ludowe cytadele” bocznymi drogami, albo przy pomocy korytarzy wydrążonych w całych szeregach domów. Następnie zamierzali generałowie obsadzić główne arterie komunikacyjne i strategiczne punkty. W ten sposób zacieśniając coraz bardziej i bardziej tę żelazną obręcz, jaką mieli zamiar otoczyć centrum Paryża, mogliby wreszcie za jednym zamachem zduścić uwięzionych w nim powstańców.

Przypuśćmy, że obserwator stoi na kopule pałacu Inwalidów i twarzą zwrócony na północ przygląda się operacyom pięciu kolumn, na jakie Mac Machon podzielił swoje wojsko. Ujrzałby on wtedy po lewej ręce kolumnę generała Ladmiraault, idącą w górę wzdłuż linii kolei obwodowej. Ruch tej kolumny miał na celu dostać się na tyły Mont martre, który był najważniejszym punktem strategicznym czerwonych. Do tego samego celu zdążył generał Clinchant, idąc od Łuku Tryumfalnego w kierunku parku Monceau i Batignolles. Generał Donay stara się ze swojej strony zająć środek pół Elizejskich i plac Beauvau. Na lewym brzegu Sekwany a po prawej ręce obserwatora kieruje generał Cissej swoją kolumnę na dworzec Montparnasse, aby ztąd otworzyć sobie drogę do Panteonu. Rezerwę generała Vinoy zatrzymuje marszałek przy sobie, aby nią wedle potrzeby wesprzeć Donay'a albo Cissej'a.

Pierwszy znaczny postęp w działaniach wojennych zrobił generał Cissej jeszcze 22 maja. Po udanym ataku na wyżej wymieniony dworzec odebrał on czerwonym potężną barykadę, zbudowaną za obwałowaniem na drodze do Orleanu i w ten sposób otwarł sobie drogę do Butte aux Cailles. Bitwa wrzała także w centrum i na lewym skrzydle, przyniosła jednak dopiero dnia następnego poważne rezultaty błękitnym. Tym rezultatem było zajęcie dzielnicy Mont Martre, na którą w dniu 23 podjęto atak z dobrym skutkiem. Clinchant otoczył ją z południa i zachodu, a Ladmiraault z północy. O godzinie pierwszej w południe powiewa tkrójolorowa chorągiew na szczycie wieży Solferino. Ale jeszcze dwie godziny szaleje walka o potężną barykadę na placu Pigalle, która była pewnego rodzaju Akropolisem komuny. Tutaj dowodzi Dąbrowski we własnej osobie i na barykadzie odnosi śmiertelną ranę. Zaniesiony do szpitala Lariboisière kona następnego ranka. Strata Mont-Martre'u oznacza sta

nowczo strategiczną klęskę czerwonych. Nawet wariat nie mógł się już teraz spodziewać zwycięstwa. Na obu placach Pigalle i Blanche rozlały się krwawe sadzawki. W rękach zwycięzców znajduje się 100 armat i kilka tysięcy jeńców. Na miejscu gdzie 18 marca rozpoczęły się mordy komuny, dali błękitni początek zemsty. Generał Ladmirault pozostaje na razie na Mont-Martre; generał Clinchaut idzie według zewnętrznej linii bulwarów, aby ztamtąd po przez wewnętrzną linię próbować połączenia z generałem Donay. Tymczasem po lewej stronie Sekwany zdążył generał Cissey do kościoła świętego Sulpicjusza.

Na czerwone miejsca placów drugiego dnia walki, na nieszczęścia i rany bez liku zapada ciemna noc, którą oświetlają tysiące ognisk strażniczych. Szum i huk uspakają się zaledwie na kilka godzin. Idzie dzień trzeci

„Słońce wschodzi i znowu zachodzi, widzi tylko krew i śmierć; znowu wschodzi i oświetla nowe zastępy walczących.”

Centrum i wschodnią część miasta mieli jeszcze czerwoni w swych rękach. Przez cały dzień 23 maja zdołali jeszcze zachować w swych rękach i bronić przeciw napastnikom ulicę Tuilleryów, zamek, Louvre, pałac Royal, Madeleine i plac Vendôme.

Siła błękitnych leżała w pewności zwycięstwa i w jednolitości kierownictwa operacjami strategicznymi. Marszałek starał się za pomocą obejść, za pomocą wyłomów w domach i masowego ognia z ciężkich dział opanować centralną pozycję przeciwnika, aby potem idąc w górę rzeki, zadać mu cios w samo serce, to jest zaatakować hotel de Ville. Równocześnie z działaniami w środku miasta, prowadzono operacje wojenne na zewnątrz Paryża, celem zdobycia trzech południowych fortów: Montrouge, Bicetre i Sory, które należały do czerwonych. Ataki na wyżej wspomniane cytadele prowadził doskonale

oficer sztabu generalnego, Leperche. Skutkiem akcji doskonale kierowanej jeszcze przez pułkowników Deloffre i Desgarets, świetnie wspieranej przez jazdę generała Du Barrail było to, że obrońcy czuli się zmuszeni do oddania fortów nieprzyjacielowi, szukając ocalenia w mniej lub więcej szybkim odwrocie. W każdym razie udało im się wytrzymać na tej pozycji aż do 25 maja.

Wogóle czerwoni trzymali się zawsze tak długo, jak długo tylko wytrzymać byli w możności. Głupią byłoby rzeczą nie uznawać faktów, oskarżając komunę o tchórzostwo. Byłoby to również niesprawiedliwie. Sprawiedliwy sędzia musi nazwać podziwu godnym fakt, że czerwoni potrafili tak długo prowadzić walkę z wojskami rządu, militarną techniką i dyscypliną. Należy wziąć pod uwagę jeszcze i to, że czerwoni nie mieli jednolitej komendy i, że wszystkie zalety jakie mieli ich przeciwnicy mogli oni zastępować tylko uporem i pogardą śmierci.

Ale, ma się rozumieć, mówię tutaj tylko o prawdziwych bojownikach komuny, a nie o podłym motłochu, który broń nosił po to, aby nią zabijać bezbronne ofiary ku hańbie współczesnego świata i potomości.

Taki motłoch, wyrzutki olbrzymiej kloaki-Paryża, lotry, oszuści, dziewczki wyuzdane i wszeteczne, żerowały już 23 i 24 maja podobni ptactwu węszącemu ścierwo między placem Bastylli i Père Lachaise. Otoczyli oni więzienie La Roquette i rzucali przeraźliwe groźby w kierunku zakratowanych okien, za którymi więzieni byli „zakładnicy”.

Ale nie ci nędznicy wywołali znowu krwawe widmo wrześnie 1792 r. Rząd czerwonych je wywołał. Komuna powzięła postanowienie wymordowania wszystkich zakładników.

Nie udało się dotychczas ustalić dokładnie miejsca, dnia i godziny tego postanowienia, jak również niewiadome są nazwiska członków komuny,

którzy brali udział w tej rzezi. Pewnem jest natomiast, że komitet egzekucyjny wydał w środę, dnia 24 maja, następujący rozkaz: „obywatel Rigault wspólnie z obywatelem Régère obowiązani są wypełnić dekret komuny dotyczący zakładników podpisane: Delescluze, Billioray.“

Obrońcy komuny mówią, że wydanie tego krwawego dekretu jest tylko słuszną i należną zapłatą komuny błękitnym za okrucieństwa, za to bezlitosne „polowanie na powstańców“ jakie urządzili oni sobie w zdobytych częściach Paryża. Przypuśćmy, że tak, i żaden sprawiedliwy człowiek nie omieszką potępić okrucieństw, tego niehumanitarnego mordowania ludzi. Ale zachodzi duża jeszcze różnica między barbarzyństwem oszalałego w walce żołdaka, który na polach nasiąknięch krwią swoich towarzyszy morduje uzbrojonych i broniących się komunardów, a rzezią biednych więźniów, którzy wcale nie brali udziału w krwawych walkach, rzezią wykonaną z zimną krwią i kanibaliczną dzikością. Nie namiętność, nie, lecz zimno obliczona zwierzęcość dała sygnał do bezecnych morderstw masowych, które rozpoczęły się z dniem 24 maja. Hańbiące to piętno na komunie.

Obywatel Rigault nie ościagał się z wykonaniem tak sympatycznej dla niego misji. Człowiek ten należał do rzędu tych nierzadkich w naszych czasach kalkulatorów, którzy naukę materialistyczną naszego stulecia wkładają na siebie niby pancerz od którego odbija wszystko co zwiemy uczuciem, człowieczeństwem, honorem, prawdą i sprawiedliwością.

Dla tych wagabundów występki jest elegancją, zbrodnia miłym przepędzeniem czasu. Nie znają oni i nie uznają nic po nad swoje własne, małe, puste, próżne rozdęte przez manię wielkości Ja i bezwstydną, zuchwałą, ordynaryjny egoizm jest ich bożyszczem, przed którym leżeć gotowi plackiem.

Zaledwo zdążył Rigault otrzymać z komitetu

egzekucyjnego rozkaz wymordowania zakładników, podał natychmiast do St.-Pélagie by wyrzucić zemstę na znienawidzonym, uwięzionym tam republikanie Chandey'u. Prokurator komuny zaznaczył dyrektorowi więzienia, że wybiła już godzina „stracenia“ zakładników i że Chandey „zacznie ten tanię śmierci.“ Samo przez się zrozumiałe, że komuna postarała się zawczasu, dobrać na naczelników i dozorców więziennych „obywateli“, na których śmiało mogła polegać. W każdym bądź razie jej naczelnicy więzienni dobrze byli obeznani z życiem więziennem. Tak np. naczelnikiem w La Roquette był niejakiś François — zwany także Lefrançais — któremu w kaftanie więziennym noszonym zamłodu, jeszcze teraz bardzo było do twarzy.

Biednego Chandey przyprowadzono do kancelaryi więziennej, gdzie obywatel prokurator przywitał go temi słowy: „Obywatelu, poruczono mi wykonać stracenie więźniów. Dzisiaj przypada kolej na pana, natychmiast — w przeciągu godziny będziesz pan rozstrzelany.“ Chandey był, naturalnie odurzony tem brutalnem oświadczeniem, opanował się jednak i rzekł: „ależ, Raoul Rigault, czyż pan pomyślał nad tem, co zamierzasz uczynić?“ — „Naturalnie. Wypełniam postanowienie komuny. To jest wszystko!“ — „Ale pan wie, że jestem dobrym republikaninem. Pan szkodzi świętej prawdzie. Pan burzy Republikę.“ — „Wszystko jedno. Pan umrzesz wraz z resztą zakładników.“ — „Ależ, obywatelu Rigault.“ — „Dostyc, nie mam wiele czasu. Zyczysz może pan sobie spowiednika?“ — „Nie żartuj pan! wiesz pan dobrze, że nie pragnę spowiednika.“ — „Pan jesteś mordercą, pan przyczyną zabicia Blanqui'ego.“ — „Przecież Blanqui żyje; mogę to udowodnić. Może uda mi się nawet go wykupić.“ — „Aha, więc masz stosunki z Wersalem. Dobrze więc, zginiesz wraz z innymi zakładnikami.“ — „A więc, dobrze, pokażę panu, że, i jak, potrafi umrzeć republikanin.“



Zacny obywatel dowiódł tego. Zaprowadzono go do okrągłego korytarza więziennego gdzie oczekiwali nań kaci i ustawiono w kąci pod ścianą. Obywatel prokurator zezwolił sobie na tę przyjemność, by obnażonym mieczem komenderować aktem morderczym. Źle trafiony upadł Chandey na podłogę, i miał jeszcze dosyć siły by wykrzyknąć: „Niech żyje Republika!” Ale natychmiast dopadł go brygadyer Gentil, prawa ręka Rigault'a, i ze słowami „wypędzę ja z ciebie tę Republikę!” przesywając rannemu „mordę” (tak zwykł był później mawiać, chępiąc się swym czynem) kulą rewolwerową. Obrazu dopełniło obrabowanie martwego przez morderców.

Wkrótce ilość trupów w korytarzu więziennym powiększyło trzech pojmanych żandarmów. By okraścić okrucieństwo, strzałom towarzyszyły przekleństwa i kpiny. Po dokonaniem morderstwa udał się obywatel Rigault do więzienia La Santé „by tam kontynuować swoje dzieło.”

Muza historyi raz już podjęła się mówić wszystko, nie ustraszając się niczego. Ale ma ona prawo lekko przelatywać nad krwawymi sadzawkami. Trzeba chyba samemu być czerwoną bestyą z roku 1871 by móżdżek wolno przechadzać się po strasznych wzgórzach wyrżniętych zakładników i innych ofiar. Nie jesteśmy też zmuszeni liczyć trupów ofiar. Zresztą nie ilość gra tu rolę. Nie to stanowi największą grozę, ile ofiar padło z rąk inkwizycji, trybunału dyabelskiego, podczas nocy św. Bartłomieja, we wrześniu lub podczas czerwonego kwartału, ale to, że ludzie potrafią tak zezwierzęcić jeden przeciw drugiemu i że tak zezwierzęcieli.

Najokrutniejszymi zjawiają się znowu potwory-kobiety jak np. „amazonki” Katarzyna Rogissart, Natalja Lemel, Zelia Grandel i Margarita Gandair, zwana Lachaise. Ta ostatnia grała główną rolę w wielu morderstwach i wyróżniła się swoją furią w więzieniu La Roquette. Wyróżniła się ona też

przy zarzynaniu hrabiego Beaufort'a, oficera gwardii komuny, którego ni ztąd ni zowąd, bez cienia powodu kazała ta furja stracić jako zdrajcę na placu Voltaire'a. Dzikie bydlę raczej, niż kobieta, tańczyła ona na ciepłym jeszcze trupie mówiąc i robiąc przy tem rzeczy, które nie nadają się całkiem do opisu.

W środę 24 maja wszczęły się mordy masowe. Grandel i Lachaise wdarły się do więzienia na czelnie szajki morderczej, która już kilka dni żerowała pod La Roquette. Megera Lachaise przewodniczyła morderstwom zupełnie jał, urzędowa delegowana, a władza więzienna, chociaż niby sama mordów nie organizowała, ale zupełnie im się nie sprzeciwiała.

Niezatarte, wstrząsające wrażenie pozostawiła w pamięci współczesnych okrutna scena nocna, scena zamordowania na podwórzu więziennym przy zapalonych pochodniach arcybiskupa Daroboy wraz z jego pięciu towarzyszami niedoli.

Po dokonanej podłości jeden z morderców podsuwa strażnikom Pinet'owi i Bourguignon'owi rewolwer mówiąc: „Patrzajcie, dymi się jeszcze.” „Tę o to bronią zabiłem łotra biskupa.” Inny dodaje zaś: „Ten stary pies Daroboy nie chciał zdychać, trzy razy usiłował powstać.” A na placu przechwalali się małoletni zbrodniarze: „Zarobiliśmy 50 franków.”

W kilka dni później znaleziono w biurze 11 dzielnicy lakoniczny protokół następującej treści: „Komitet bezpieczeństwa publicznego. Dzisiaj, dnia 24 maja, o godzinie 8 wieczorem, w więzieniu La Roquette, straceni zostali Georges Darboy, L. B. Bonjean, L. Ducondray, M. Allard, A. Clerc i G. Deguerry. Komuna paryska. Kancelarya szefa bezpieczeństwa publicznego. Policja miejska.” Na akcie tym nie znajdujemy żadnego podpisu tylko stempel urzędowy prefektury policji.

Stwierdzono jednak napewno, że obywatel Ferré, delegat komisji bezpieczeństwa publicznego, udawał

się dnia 24 maja dwa razy przed i popołudniu do więzienia La Roquette. Pewien naoczny świadek rzucił mu w oczy oskarżeniem na sądzie wojennym w Wersalu. Twierdził on kategorycznie, że to Ferré poprowadził osobiście zgraję morderców do więzień. Świadkiem tym był inżynier cywilny Duval, człowiek honoru, więziony również w roli „zakładnika.” Na zapytanie prezesa sądu: „Czy jesteś pan całkiem pewny tego, że to właśnie oskarżony Ferré, członek komuny, wprowadził wspólnie z Rouvier'em do La Roquette bandę egzekucyjną, którąś pan widział w kancelaryi więziennej 24, 26 i 27 maja?” — odpowiedział Duval: „Przysięgam na to”. Stwierdzoną również została obecność Rigault'a w więzieniu podczas tych trzech dni. Wniosek: Rzezie w wyżej wymienionych więzieniach, nie były przypadkowe, lecz urzędowo zorganizowanemi; nie były wybrykiem motłochu, ale obmyślanym i obliczonym naprzód czynem komuny, czynem dla wykonania którego posługiwała się ona ludźmi zdziczałemi i zezwierzęconemi jakich posiadała całe zastępy.

W czwartek 25 maja straceni zostali Dominikanie z Arceuil'u, gdzie mieli szkołę. Na rozkaz komisji publicznego dobra byli oni aresztowani 19 maja i w liczbie 23 ojców i braci uwięzieni w forcie Bicêtre. Kiedy 25 maja czerwoni ustąpili z fortu, powlekli za sobą mnichów i ustawili na barykadzie Avenue d'Italie jako cel dla kul błękitnych. Kiedy pod wieczór musieli czerwoni opuścić barykadę zmasakrowali ze zwykłą sobie brutalnością bezbronne ofiary, z których tylko niewielu udało się ratować ucieczką.

„Dalej, dalej po krwawym bagnie! Musimy je przebyć...”<sup>4</sup>

Po zamordowaniu biskupa i jego towarzyszków udało się zbiedz z La Roquette trzem duchownym, wikaryuszowi generalnemu Surat'owi, księdzu Beourt'owi i misjonarzowi Houillon'owi wspólnie z sierżantem miejskim Chanlieu. W pogoń za zbiegami

rzuciła się natychmiast jakaś megiera na czele szajki myśliwskiej, w jednej ręce trzymając czerwoną chorągiew, w drugiej—nóż. Zbiegów przytrzymano, zawleczono na podwórze La Roquett'u, ustawiono pod ścianą i rozstrzelano. Kiedy Chanlieu błagał wilczyce—Guyrad, niosącą nóż i chorągiew, by mu darowała życie przez wzgląd na jego ośmioro drobnych dzieci, zelżyła go sprośnie i zakomenderowała „ognia!” Pewien typowy ulicznik paryski, oskarżony przez sąd wojenny o współudział w tem morderstwie, na zapytanie przydującego czemu strzelał do księży — zakładników odpowiedział lakonicznie: „Bo niepotrzebna nam religia”. To są skutki faktu, że miasto mieniące się być „pochodnią świata”, „słońcem cywilizacji ludzkiej” było na tyle barbarzyńskim, iż zezwoliło wzrosć w swoich murach 60,000 dzieci bez wychowania i szkolnej nauki.

W piątek 26 maja urządzono motłochowi z Belleville przerażające widowisko znane pod nazwą rzezi przy ulicy Haxo. Dla tej rzezi sprowadzono z La Roquette 52 zakładników w tej liczbie 14 duchownych i 38 policyantów miejskich (Gardes de Paris). Między 5 a 6 po południu przeprowadzono nieszcześliwe ofiary wśród wrzasków bandytów, śmiechu żebraków w górę ulicy de Paris, później zaś na prawo w ulicę Haxo. Po obu stronach tej ostatniej cisnęły się tłumy gapiów, którzy przywitali skazańców złowrogimi okrzykami: „Precz z nimi! rozstrzelajcie ich!” Przy domu Nr 83 zapędzono zakładników na podwórze, raczej do zamurowanej nory. Rozpoczynającej się rzezi asystują oficerowie odświętnie przystrojeni szarfami. Karabiny i rewolweryabrały się do dzieła i pracowały tak długo, aż ostatnia ofiara wyzionęła ducha. Trupy wrzucono do piwnicy jakiegoś niewykończonego gmachu. Po dokonanej zbrodni tłum przywitał morderców dzikimi oznakami radości i uznania, a młode kobiety wybiegły naprzeciw oprawcom, ścisnęły im zczerniałe od prochu, krwią zbrukane rę-

ce, wołając: „dzielnie wykonane; dobrze pracowaliście, chłopcy!”

Na sobotę 27. maja planowano widocznie rzeź w wielkim stylu. Świadczy o tem fakt, że obywatel Ferré zjawił się w kancelaryi Roquette'u i zarządził uwolnienie i uzbrojenie więźniów kryminalnych. Chciał on, prawdopodobnie, zarznąć z pomocą tych zacnych obywateli resztę więzionych tam „zakładników.” Ale tylko kilka morderstw udało się wykonać tego dnia szubrawcom. Na przeszkodzie dalszym — stanęło groźne i szybkie zbliżanie się błękitnych. Zresztą, zakładnicy sami wspomóczeni potajemnie przez niektórych sympatyzujących z nimi strażników i powiadomieni o zbliżających się obrońcach, zabarykadowali się w celach i postanowili drogo okupić swoje życie. A i kryminaliści uznali z swojej strony za lepsze wynieść się, niż wykonać tę mniej lub więcej niebezpieczną, krwawą robotę. Co prawda „obywatel, dyrektor więzienny” François posiadał w pogotowiu pokaźną liczbę bomb, które miały w ostatniej chwili (tak zwykły był się przechwalać) wysadzić w powietrze resztę zakładników, ale w „ostatniej chwili” stanęła przed nim znajoma mu już zmora: kaftan i strawa więzienna i doradziła mu wynieść się ztąd jaknajszybciej.

Ze wschodzącą słońcem zajaśniała pociecha i wolność w mrocznym, otchłannym La Roquette.



## XI.

### Krew i ogień.—Ogień i krew.

„Po mojej śmierci, może się świat cały spalić!” Powiedział Tyberyusz.

„Po nas, choćby potop!” — rzekła pani Pompadour.

„Kiedy przyjdzie nasz czas, Paryż będzie albo do nas należał, albo go nie będzie wcale! Albo my, albo nic!” rzekł pewien z przywódców czerwonych Mongołów z roku 1871, jeszcze przed Sedanem, czyli przed upadkiem cesarstwa.

Tak jest, czerwonych „Mongołów.” Gdyż komunardzi z maja 1871 roku postępowali zupełnie podobnie, jak żółci Mongołowie średniowiecza. Czego nie mogli zdobyć lub opanować, to niszczyli, by nie dostało się w ręce innych.

Ten sam dziki egoizm, którym powodował się ciemny despota Tyberyusz, ten sam, który brzmi w śmiechu lekkomyślnej Joanny Antoinetty Poisson.

W tej francuskiej wojnie domowej z czasów komuny, jest wiele zdziczenia, które cechowało walki domowe Rzymian za czasów upadku republiki. Z morderczego tygodnia majowego dochodzi prze-

rażliwe zgrzytanie zębów, wściekle wycie dzikich zwierząt. Niema w tem już nic ludzkiego. Z jednej strony szaleństwo zrozpaczonych, z drugiej orgie zemsty.

Komisyja dobra publicznego wydała, co prawda, odezwę nawołującą: „Do bronii! Na barykady! Precz z litością! Rozstrzelialiście każdego, kto tylko mógłby być pomocny Wersalczykom! Ogień! Ogień!” Ale i wśród błękitnych znajdowali się oficerowie, którzy podjudzali żołnierzy do bezlitosnego mordowania pojmanych. Osławił się przed innemi swoją dzikością pewien bonapartysta, markiz de Gallifet.

Od 23 maja walka toczyła się właściwie o nic. Chodziło już tylko o to, która ze stron walczących okaże się silniejszą i potrafi zdeptać i zdławić nieprzyjaciela.

Kiedy ponury Jakobiniec Delescluze odebrał sprawozdanie z dnia i zrozumiał z niego, że zaczyna się początek końca, powiedział:

„Wysadzić Paryż w powietrze! Lepiej niech spłonie on do cna, niżby miał dostać się rojalistom!”

Słowa te uważać możemy za sygnał, dany palaczom i palaczkom—(„*flamines i flaminiae*”), by przystąpili do swego strasznego dzieła, by naftę poślubili prochowi.

W nocy z wtorku na środę (z 23 na 24 maja) stało się coś przerażającego. Zapłonęła „Metropolia świata.”

Kto przyglądałby się Paryżowi o świcie dnia następnego z wysokości Meudonu lub Montretout'u ujrzałby, jak zrywa się do lotu czerwony kogut, jak ciągnąc ognisty pas za sobą, śpieszy do Tuilleryów, do Louvre'u, do Palais Royal, do ministerjum finansów i dalej jeszcze, coraz dalej.

Straszny okrzyk „Paryż stoi w płomieniach” wyrwał tego ranka z łóżek tych lekkomyślnych, którzy po wszystkich okropnościach dni ubiegłych, spokojnie przesypiali wypadki tej nocy. I nadszedł

dzień następny, co mówię, szereg dni okropnych, o których mówi stara pieśń sądu ostatecznego:

„Dies iraea, dies illa  
Solvat urbem in favilla”<sup>1)</sup>.

Lecz dzikie korowody błękitnych i czerwonych nie ukończyły się jeszcze. Ciągłe jeszcze trwał zażarty bój o Paryż, rozgoryczenie wciąż wzrastało. Jednakowo bohaterскими były obrona i atakowanie. Bojownicy komuny z takim zapalem nieśli jej swe życie w ofierze, jakgdyby walczyli o rzecz najświętszą i lepszą od wszystkich tych, za które kiedykolwiek wznoszono oręż. Niektórzy ginęli z niezwykłym wprost, śmiejącym się spokojem. U portu St. Martin wśród gradów kul trzymał jakiś robotnik czerwoną chorągiew. Opierał się przytem o stojącą obok beczkę. Zapytany przez jednego z towarzyszy, czy nie jest przypadkiem zmęczony, lub czy się nie lęka, odpowiedział „ani jedno, ani drugie. Opieram się o beczkę dlatego, że nie chcę upaść, gdy będę ranny. Chcę i nadal wznosić chorągiew.”

Już w czwartek mieli błękitni duże zdobycze, chociaż stracili Montmartre, z wyzyna którego miotali łomy na Belleville i Père Lachaise. Generał Ladmiraullt posuwał swoje oddziały wzdłuż zewnętrznych bulwarów, generał Clinchaut podążał w tym samym kierunku ulicami, położonemi między obiema liniami bulwarów. Pośrodku generałowie Douay i Vinoy. Wszystkie te ruchy, do których zastosowuje swoje generał Cissej na lewym brzegu rzeki, mają na celu opasanie hotelu de Ville. Cissej posunął się jeszcze we wtorek do ulicy Rue de Bac, tym czasem zaś wojska na prawym brzegu rzeki owdładnęły

<sup>1)</sup> Dzień gniewu, dzień zemsty, zamienia miasto na gruzy i popiół.

tarasem Tuilleryów, Madeleine, placem Vendôme i umocniły się na Chaussée d'Antin i na ulicy Lafayette.

Nawet noc nie przynosi teraz przerwy w walce. O oświetlenie troszczą się palacze i palarki. Zdaje się, że całe kolosalne miasto zamieniło się na jeden wielki piec. A rzezie trwają wśród dymu i płomieni.

Nad ranem 24 maja błękitni opanowali giełdę i plac przed nią. Douay zwraca się przeciw wspólnie obarykadowanej i zawzięcie broniącej się Pointe de St. Eustache i zdobywa ją z wielkim trudem i stratami. Później zagraża on ratuszowi od strony ulicy de Rambuteau. Z brzegów Sekwany kieruje się ku ratuszowi ulicą Rivoli generał Vinoy. Cissej zaś po zbudowaniu barykad na Pont Neufie łączy się ze swoimi towarzyszami z wysepki Sekwany. Walka, która rozpoczęła się o hotel de Ville, srożyła się z okropną zaciekłością noc całą, aż do dnia następnego. Rankiem czerwoni cofnęli się z głównej swej siedziby, siedziby już nie pierwszej rewolucyj. Ale niech nie dostanie się ona błękitnym! Przeraził ich huk, od którego zatrzęsała się wokół ziemia, poprzedza zwolna wznoszącą się skłębioną, ciemną chmurę dymu a z czterech węglów kolosa strzelają w błękit słupy płomienne. Obywatel Pindy dotrzymał przyrzeczenia. Hotel de Ville w płomieniach i płonie na wyścigi z Tuilleryami, z biblioteką Louvru, pałacem Royal i ministeryum finansów, z pałacem legii honorowej, z pałacem d'Orsay, pałacem justycyi i prefekturą policji; płonie na wyścigi z teatrem, rynkiem, fabrykami, i licznymi domami prywatnymi. Panteon ocalał tylko dzięki szybkiemu przybliżeniu się generała Cissej'a. Czy może palacze sami się przed nim cofnęli? Wiedzieli oni przecież, że w piwnicach świątyni mieści się śpiący wulkan: 16 milionów naboji, 20 ton prochu i wiele skrzyń z dynamitem. Gdyby zbudzony pochodnią

wybuchnął, musiałyby poczynić niesłychane spustoszenia.

Długo jeszcze przyszło walczyć błękitnym o Chateau d'Eau, trzecią ważną pozycję komuny w centrum. Walczono o nią od czwartku do piątku rano. Posuwanie się walczących na prawym brzegu czterech połączonych korpusów ku St. Martin i ku placu Bastylii połączone było z wielkimi przeszkodami. Część miasta położona pomiędzy pasem kolei obwodowej, a bulwarami wewnętrznymi zasypywana jest formalnie granatami i bombami naftowymi, miotanemi przez, czerwonych z Butte Chaumont w Bellevillu i z Père-Lachaise. Punkty te, zarówno jak Faubourg du Temple i Rue d'Angoulême są ostatecznymi pozycjami powstańców. Surowy dowódca Delescluze jeszcze na dzień przed stratą ratusza wiedział, że niema dla nich ratunku, pozostaje zaś szukanie śmierci...

Trzebaby dużo zużyć wysiłku, by wyobrazić sobie w przybliżeniu jak wyglądał Paryż w czasie od środy 24 do soboty 28 maja. Trud to nadaremny jednak. Było to coś niby zaczynający chaos. Tylko geniusz Dantego mógłby dać obraz tej *citá dolente* rzeczywistości. Od świadków naocznych otrzymujemy tylko skrawki. Nie potrafia oni rozróżnić i zgrupować w jeden obraz tych faktów przerażających, które wchłaniali w siebie wszystkimi porami. Pewien świadek francuski powiada:

„Trzeba było być w Paryżu w czasie między 23 a 28 maja, by mieć wyobrażenie o tym okropnym wyglądzie, jaki przybrało to wielkie miasto, skazane jakby przez walczących na zagładę. Walki mordercze między armią porządku z jednej, a armią demagogii z drugiej strony, ślepe strzały krzyżujące się w rozmaitych kierunkach tysiące, najrozmaitszych niebezpieczeństw, jakie groziły mieszkańcom każdej chwili, — wszystko to razem mogło napędzić nielada strachu. Lecz nic nie było tak straszne, tak wstrząsające, tak rozpaczliwe, jak wi-

dok spalonych i walących się w gruzy gmachów monumentalnych, tych przybytków, do których z religijną czcią składała nauka i sztuka przez całe stulecia swoje skarby. Przeglądający się tej orgii ognia z wzgórza La Roquette'u (gdzie więziono naszego świadka w roli zakładnika) lub Chatillonu mówili przerażeni między sobą, że ta wspaniała stolica cywilizacji musi rozsypać się w gruzy; wydawało się, że ma się przed sobą jeden wielki komin, ziejący płomieniami i kłębami, całymi chmurami dymu.

Inny znów świadek, znajdujący się podówczas po drugiej stronie kanału, widząc płonące Tuillerye, Louvre i pałac Royal na spalonej ulicy Royal, wykrzyknął:

„Rzeczywiście po królewsku pali się strona ulicy między placem Madeleine i Rue des Faubourg.” Na tej ostatniej ulicy wszystkie rynsztoki przepelnione były krwią. Na każdej z ulic wznosi się barykada. Grzmoty dział, grzechot salw muskietowych i kaszel moździerzy, wszystkie te odgłosy tworzą razem wspaniały, imponujący akompaniament do dramatu zniszczenia. Tłum, widząc te okrucieństwa, szaleje z wściekłości. Dotychczas witał on swoje uwolnienie radosnymi okrzykami i wiewatami, teraz radość poczyna przeobrażać się w pragnienie bestyalskiej zemsty. Drżąc i dysząc wściekłością opowiadają sobie w tłumie, że pożar pożera równocześnie ministerjum finansów, wszystkie gmachy publiczne na Quai d'Orsaye, a także ulicę du Bac. Języki ogniste i kłęby dymu gasząc blask słońca, żągają równocześnie płomienie w sercach Paryżan, płomienie nie mniej dzikie, szatańskie i burzycielskie.

„Zastrzelcie wszystkich więźniów! Precz z litością! Precz z palaczami i podpalaczkami! — wrzeszczy oszalały tłum, zwracając się do żołnierzy. I natychmiast wszczyna się wściekle, okropne polowanie na podejrzanych. Tłum szuka, chwyta i roz-

strzeliwa na miejscu mężczyzn i kobiety. Kobiety spełniają to barbarzyńskie zajęcie najnamiętniej.

Za cud uważano to, że nie cały Paryż, jak się tego obawiano, stał się pastwą płomieni. Ale jak i wszelkie inne cuda, tłómaczy się i ten cud całkiem naturalnie. Przedewszystkiem nadspodziewanie szybkie przybycie do miasta błękitnych, przeszkodziło czerwonym w uplanowaniu i wykonaniu całkowitego zniszczenia. Przyczyny pomniejszych, energiczne ataki wojsk, wprowadziły nieład i zamieszanie w szeregi walczących komunardów i przeszkodziły palaczom w ich robocie; właściciele domów zdobyli się w chwili największego niebezpieczeństwa na tyle odwagi, by sprzeciwić się podpalaniu; sprytni stróże prowadzili nadbiegających podpalaczy do piwnic i tam spajali ich winem aż do utraty przytomności; wreszcie można uważać za pewnik to, że wielu palaczom w ostatniej chwili serce wzbierało litością, a ręka nie podnosiła się do wykonania piekielnego zadania...

Ciągle jeszcze powiewała czerwona chorągiew, a baterye z Butte Chaumont i Père Lachaise ostrzeliwały miasto. Walka rozpaczliwa pozwalała sobie na krótkie tylko chwile wytchnienia. Z niesłychaną wściekłością szalała ona w nocy z piątku na sobotę pod górzystym Bellevillem, najeżonym barykadami. Całe to gniazdo tonało w powodzi jaskrawej czerwieni i blasków, jakie rzucały ogromne, płonące śpichrze. „Strategiczne” pochodnie i tutaj dokonały dzieła. Jak dwa kolosalne wykrzykniki sterczały śród morza płomieni ostre wieże kościoła Belleville. Z Montmartru syją się wciąż bomby błękitnych i coraz nowsze wytryskują płomienie. Ale obrońcy Belleville'u z niezłomnym fanatyzmem bronią wciąż przegranej już sprawy.

Jeszcze jeden cały dzień 27 maja. Bo chociaż ze świtem ucichło na chwilę dzikie wycie, wróciło ono natychmiast ze dwojoną niemal siłą. Słońce zmęczone widokiem trzydniowych bachanalii

mordów oblekło się gęstą zasłoną chmur; ale odblaski pożarów krwawo zabarwiły jego szarą szatę. Uczestnicy tej smutnej tragedii opowiadali później, że dziwnie przygnębiający, upiorny wygląd miał Paryż tego majowego ponurego ranka.

Trzeba było raz już z tem skończyć. Błękitni uszykowali się do ostatecznej walki. W godzinę załatwili się oni z powstaniem. Okrzykli je niby kołem z żelaza, krwi i ognia. Krąg ten zaczynał się w Belleville i Père Lachaise i rozpościerał się aż do Bulwaru Beaumarchais, placu Bastylii, Rue de Charonne i Rue du Temple. Ale i w tym zaczarowanym kole długo i zażarcie bronili się jeszcze czerwoni, tak zażarcie, że bliżej południa generałowie błękitnych zaczęli przemyśliwać i przebąkiwać o tem, że trzeba będzie chyba sprowadzić działa, broń najróżnorodniejszego kalibru i zamienić wzięcie broniące się części miasta na kupę gruzów. Nie uciekano się jednak do tych środków ostatecznych, gdyż wieczór i bez tego rozstrzygnął walkę. Generałowie Ladmirault i Vinoy przyspieszyli zwycięstwo. Ladmirault po zdobyciu przedmieścia Villette zaatakował Butte Chaumont od tyłu i zdobył ją. Vinoy zaś zaatakował i opanował Père Lachaise, a ztamtąd dotarł pod wieczór, aż do La Roquette'u. Belleville więc spętany, a furja zemsty dławiona i hulająca jeszcze długo w noc na zburzonych ulicach miasta. Gromady czerwonych uciekinierów tłumnie dążyły do broniącego się jeszcze do 29 maja fortu Vincennes, szukając tam schroniska i ocalenia. Mało komu udało się jednak ocalić, umknąć przed nacierającymi i mordującymi błękitnymi.

Garstka komunardów broni się jeszcze w Faubourg du Temple i w Rue d'Angoulême. Trzymają się jeszcze przez całą noc i ranek niedzielny, chociaż złowieszczą cisza, idąca z Butte Chaumont i z Père Lachaise mówi im o końcu i o wybięciu godziny śmierci. Bliżej południa otoczono ich w ulicy

Angoulême. Nie posiadali już ani jednego naboju i tylko jedną barykadę. Tej bronili dopóty, aż zgruchotały ją kule armatnie i aż ostatni obrońcy polegali od kul karabinów i uderzeń bagnatów atakujących żołnierzy.

Na zwaliskach tej ostatniej barykady leżał bezbronny, raniony pięcioma kulami w pierś i w obnarzoną głowę, chudy starzec. Ostatni dowódca komuny. Delescluze szukał śmierci i znalazł ją tu w południe. Prokurator Rigault schwyty w pełnym rynsztunku i poznany, przyjął śmierć godnie, chociaż jej nie szukał, rozstrzelany został przez strzelców 19 pułku zawęglęł ulicy Gay Lussac. To samo spotkało i wielu innych członków komuny. Tak np. obywatela Millièrę rozstrzelali żołnierze na stopniach Panteonu. Wielu jednak komunardom udało się zbiedz. Część zbiegła podczas ostatnich dni komuny, przekradłszy się przez kordon wojsk niemieckich, część zbiegła później. Między innymi zbiegł sprytny Pyat, który zabardzo ceniał swe spieszczone ciało, by chcieć ryzykować życiem. Innych bohaterów komuny udało się odszukać pod wcale nie bohaterskimi maskami i szatami. Tak np. obywatela Rossela odszukano w przebraniu i ucharakteryzowanego na śnieżnobrodego starca. Inni poprzebierali się w suknie swoich kochanek. Były premier Ludwika Filipa, jezuita Guizot uciekł też w przebraniu kobiecem 24-go lutego 1848 roku. Potrzeba nie zezwała na wielką wybredność.

O godzinie 2-iej po południu, dnia 28-go maja, marszałek wydał do Paryżan następującą odezwę:

„Armia Francji zbawiła was. Paryż uratowany, walka skończona, porządek przywrócony”.

W Wersalu zaś pan Thiers otworzył Zgromadzenie narodowe smutną wiadomością: „Paryż zwrócony swej prawdziwej władczyni—Francji”.

## XII.

## F a c i t.

Zajmijmy się na koniec dwoma jeszcze faktami, nieodłącznie związanymi z historią komuny: obrachunkiem kosztów i ilości ofiar.

Zemsta, jaką błękitni zwycięzcy wywierali na bojownikach komuny, smutne wydaje świadectwo naszej chrześcijańskiej, nibyto, cywilizacji.

Rzadkie wypadki innego postępowania zwycięzców względem zwyciężonych, nie zachęcają widocznie do naśladowania. Dwa przepiękne przykłady ludzkiego obojętania się ze zwyciężonymi w wojnie domowej podaje nam historia ostatniego wieku. Jednym przykładem łagodności, ochrony i przebaczenia dla zwyciężonych jest postępowanie Związku szwajcarskiego w 1847 r. wobec zwolenników decentralizacji, drugim — przykład Północno-amerykańskiej unii w 1865 r. w stosunku do secesjonistów. Ale takie republikańskie przykłady nie są godne naśladowania w monarchiach.

Przyznać trzeba, że wojska francuskie w walce z komuną miały znacznie więcej przyczyn do bezwzględного postępowania z bojownikami komuny,

aniżeli rząd niemiecki w 1848 r. w stosunku do bojowników o wolność i konstytucję. Tak samo trudno się nie zgodzić na to, że więcej, bardziej zrozumiałe jest postępowanie liberalizmu francuskiego, zatwierdzającego w Wersalu wyroki śmierci, wydane przez sąd wojenny na członków i żołnierzy komuny, aniżeli fakt, że głupi, tchórzliwy i bezsilny liberalizm niemiecki z r. 1848, z poddańczą pokorą przyklasnął wyrokom spełnionym na konstytucjonalistach w Manheimie, Reistacie i Fryburgu. Na rękach pana Thiersa, jego ministrów i generałów powstały czerwone plamy dlatego, że pozwolili na ohydne mordy spełniane ze strony zwycięzców błękitnych nad pokonanymi czerwonymi. Możliwe, że oficerom trudno było uspokoić żołdaków oszalałych wśród ognia i niebezpieczeństw sześciodniowej walki ulicznej; należało jednak przynajmniej próbować tego. Ale wybrykom zezwierzęconego wojska nie próbowano przeszkadzać, albo przynajmniej bardzo nieznacznie. Tej to potępienia godnej niedbałości ze strony oficerów należy przypisać wstrętne okrucieństwo masowego rozstrzeliwania czerwonych. Ostatecznie nie udało się ustalić liczby pomordowanych w ten sposób jeńców. W każdym razie liczba 20,000 ludzi (między nimi 4,000 kobiet i dzieci!), nietylko nie jest przesadzona, ale może nawet za mała. Nie można również dokładnie oznaczyć liczby komunardów, zabitych podczas obrony barykad ulicznych, ale śmiało można liczbę poległych w ten sposób oznaczyć na 10,000 ludzi. Jeżeli więc razem dodamy liczbę bezpośrednio na ulicach zabitych jeńców z ilością komunardów poległych na barykadach, to suma wszystkich trupów wyniesie 30,000.

Sprawozdanie generała Appert'a o działalności sądu wojennego z 1871 r. sporządzone dla Zgromadzenia narodowego w listopadzie 1875 r., stwierdza urzędownie, że po zupełnem zajęciu Paryża znajdowało się w rękach armii około 38,000 jeńców. Między nimi było 7,460 przestępców krymi-



nalnych, recydywistów, 5,000 zbiegłych z wojska żołnierzy i 500. Do śledztwa pociągnięto ogółem 30,000 osób. Z tych wypuszczono na wolność 18,930 po śledztwie pierwiastkowym, 11,170 osób, a między nimi 80 dzieci pociągnięto do odpowiedzialności przed sądem wojennym. Wiele wyroków śmierci wydano na żołnierzy zbiegłych z wojska do komuny, między innymi na Rossela. Ogółem padło 110 wyroków śmierci. Z tych wykonano 24. Z ujętych członków komuny skazano na śmierć dwóch, a mianowicie: Ferré i Lullier. Rozstrzelano tylko Lullier'a. Inni, jak Urbain, Trinquet, Assi, Billioray, Champy, Lisbonne, Regère, Ferrat, Grousset, Verdure, Jourde, i Rastoul, dostali, z pewnemi niesprawiedliwie zastosowaniami zmianami, dożywotnie przymusowe roboty, deportację do twierdz, albo zwyczajne zesłanie (do Nowej Kaledonii). Dzikie gąski klubowe i amazonki, które należały do procesu, otrzymały stosunkowo lekkie wyroki. Tylko 6 podpalaczek skazał sąd wojenny na dożywotnie, ciężkie roboty. Rocheforta i starego Blanqui'ego skazano później na deportację.

Zachowanie się komunardów przed sądem wojennym było w poszczególnych wypadkach (naprzykład Ferré i Lullier) komedianckie i zuchwałe, niemniej jednakże bohaterskie i wzniosłe. Niektórzy z nich kłamali i łgali jak zwyczajne łotrzyki. Niawielu tylko z pomiędzy nich miało odwagę przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny. Do tych ostatnich należał, nie grający żadnej większej roli, półglówek, bellewilski szewc Trinquet, który jednak śmiało i po męsku przyznawszy się do swoich przekonań, zawołał, oburzony tchórzostwem swoich towarzyszków niedoli:

„Kiedy mnie współobywatele wybrali do komuny, nie myślałem, że mnie zaszczytli mandatem w tym celu, abym się go miał zaprzec w dniu niebezpieczeństwa. Biłem się aż do ostatniej godziny. Czupka moja i surdut są podziurawione kulami.

Załużę tylko, żem nie zginął, aby nie być zmuszonym patrzeć na to, jak moi koledzy usiłują zrzucić z siebie odpowiedzialność”.

Dnia 2-go sierpnia zdał marszałek Mac Mahon raport o stratach, jakie armia poniosła podczas oblężenia Paryża i podczas walki ulicznej wewnątrz miasta. Ogółem straty błękitnych wynosiły: 83 zabitych a 43 ranionych oficerów, 794 zabitych a 6,024 ranionych żołnierzy, oraz 183, których nie znaleziono.

Szkody z powodu pożarów były kolosalne. Szkody zrobione w samym ratuszu i Tuileryach wynosiły 60 milionów, straty w ministerjum finansów 15 milionów, w dokach w Belleville i Vilette 27 milionów, w budynku rady państwowej i budynku rachunkowości 10 milionów, straty w pałacu sprawiedliwości, conciergerie i prefekturze policji wynosiły razem 6 milionów. Ogólne straty, spowodowane zniszczeniem gmachów państwa, kościołów, pałaców, teatru, fabryk, śpichrzów, domów prywatnych, wliczając jeszcze do tego straty w ruchomościach i towarach, wynosiły ogółem co najmniej sumę 500 milionów fr.

Jak doskonale stała komuna pod względem posiadania broni i karabinów, dowodzi tego fakt, że zwycięzcy odebrali pokonanym 2500 armat i moździerzy oraz 400,000 karabinów najrozmaitszego rodzaju.

A teraz, reasumując ten ponury rachunek krwi i pożogi, zapytujemy: W jakim celu ta cała groza?

Co osiągnięto takim wylewem krwi, taką wściekłością i nieszczęściem, bezmiarem krwi i całym morzem łez? Co przez to zyskała Francya?

Nic nie zyskała, ale bardzo wiele straciła.

Tak jest. Francya straciła tak wiele, że dzień 18 marca powinna zapisać w swoim kalendarzu hi-

storycznym jako dzień żaloby, tak jest, jako „*dies nefastissimus*”. Dlaczego?

Dlatego, że dzień powstania komuny, był w istocie rzeczy zaprzeczeniem prawdziwie wielkich, zwalniających i wyzwalających zasad roku 1789. Na zawsze pozostanie chlubą i sławą roku tego i zasad wówczas postawionych, że po raz pierwszy obwieściły one i ugruntowały społeczną jedność, teoretycznie: wysławiając równość praw politycznych, praktycznie: stawiając na miejsce przywileju urodzenia lub kasty równouprawnienie pracy i zasługi. Przeciwnie komunardzi z 1871 r., ci przynajmniej, którzy dali się użyć za narzędzia Internacyonalki, gdyż za hiszpańską ścianą rzekomej demokracji, która w gruncie rzeczy była tylko tyranją ludową, chcieli zniszczyć podstawę równości. Usiłowali oni stworzyć nową kastę, kastę robotniczą, i z pomocą tej kasty nowy, klasowy despotyzm, despotyzm proletaryatu nad innymi społecznymi klasami. Dla każdego, kto ma zdrowych pięć zmysłów i chce ich używać jest chyba jasnym, że byłoby to powrotem do barbarzyństwa i upadkiem cywilizacji.

My, inni demokraci, jesteśmy całym sercem gotowi zwalczać tyranję złotego worka; ale z góry ostrzegamy się przeciw zastąpieniu tyranii złota tyranją torby żebraczej..

Bezpośrednie szkody, jakie czerwoni zrzadzili — pomijając już stokrotną hekatombę w ludziach i straty wskutek pożarów — są jasne i smutne. Przyjawszy już, że pierwotną myślą, ideą komuny był pęd ku decentralizacji, żądanie wolności gmin, zapytujemy, co zrobiła komuna działając w ten sposób dla swojej przewodniej idei, dla swego zasadniczego celu? Sprowadziła tylko jeszcze większe zaostrzenie centralizacji i zniknięcie nawet samej myśli o autonomii municypalnej we Francji.

A co uczyniła ta dziwaczna rewolucya przeciw republice pana Thiersa? Zastąpiła ją republika panów Broglie i Buffet, a więc najbardziej prostackim kuglarstwem, jakim kiedykolwiek naród oszukiwano.

Mało tego wszystkiego. Gwałtowne parcie komuny naprzód w kierunku fantastycznego państwa Utopii, wywołało w następstwach swoich tak silną reakcyę, że zaintronizowanie we Francji średnowieczna w osobie hrabiego Chambord rozbiło się tylko, jak wiadomo, o szlachetność tego człowieka.

Podobnie również mordowanie księży przez komunę rozszerzyło tylko ich wpływ we Francji.

Oto jest rachunek długów komuny. Tylko głupcy mogą go zmniejszyć, tylko oszuści mogliby mu zaprzeczyć. Jest on bardzo pouczający; nie chcę jednak tem samem powiedzieć, że on ludzi wiele, albo wogólności czegokolwiek nauczy. Stałoby się to wbrew dotychczasowemu doświadczeniu i zadałoby kłam najprawdziwszej myśli, jaką Hegel wypowiedział: „Historja uczy tylko tego, że ludzi nigdy niczego nie nauczyła”.

Dalej więc, mniej lub więcej kochani współcześniecy w zwyczajnym i ukochanym „*Laisser faire, laisser aller*”, odurzajcie się dalej, aż wam pewnego czarnego, albo czerwonego ranka spadnie na głowę jak piorun generalny, eurpejski krach.

K O N I E C.





415032

WYCIĄG Z KATALOGU  
„Biblioteki Dzieł Wyborowych”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka № 14, w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

**Rok 1905.**

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	kop.
357.	Guy de Maupassant. NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	Emil Tardieu. ZNUDZENIE. Studium psychologiczne w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa	1.35	1.20
359.	M. A Szimaczek. OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłumaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360, 361.	Deotyma. POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM	80	50
362, 363, 364.	Gabryela Zapolska. SEZONOWA		

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	kop.
	MIEŁOŚĆ. Powieść współczesna. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.80 1.50
365.	Helena Keller. HISTORIA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	40 25
366, 367.	G. Flaubert. SALAMBO. Powieść z przedmową W. Jabłónowskiego	80 50
368, 369.	T. Jaroszyński. CHIMERA. Z przedmową Z. Dębickiego	80 50
370.	H. Lichtenberger. FR. NIETZSCHE I JEGO FILOZOFIA. Tłó i Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłónowskiego	40 25
371, 372, 373.	M. Rodziewiczówna. KLEJNOT. Z przedmową H. Gallego	1.20 75
374.	W. Marrené Marcinkowska. CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedmową H. Gallego	40 25
375, 376.	Kenjro Tokutomi. NAMI-KO. Z japońskiego tłumaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węslawska	80 50
377.	Cr. Th. Zell. CZY ZWIERZĘ NIEMA ROZSAĐKU? Spolszczone przez M. S.	40 25
378, 379, 380, 381.	Teodor Jaske-Choiński. GASNĄCE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60 2.00
382.	Booker T. Washington. AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40 25
373, 384, 385, 386.	Z. Kaczkowski. ROZBITEK. Powieść z przedm. Wł. Jabłónowskiego	2.60 2.00
387, 288.	F. de Roberto. ZŁUDZENIA. Przekład z włoskiego oryginału, przez W. E. Z przedmową Wł. Jabłónowskiego	80 50
389, 390.	Alexander Kraushar. DWA SZKICE HISTORYCZNE z czasów Stanisława Augusta	80 50
391, 392.	M. Rodziewiczówna. JERYCHONKA. Powieść	80 50
393.	K. Wagner. PROSTOTA W ŻYCIU.	40 25
394.	Vincente Biasco Ibanez. RUDERA. Powieść, przełożyła z hiszpańskiego Alina Świderska	40 25
395.	William Blake-Odggers. ANGIELSKI SAMORZĄD MIEJSCOWY. Spolszczył Wojciech Szukiewicz	40 25

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	kop. kop.
396.	W. Gomułcki. BRYLANTOWA STRZAŁA i inne nowele	40 25
397, 398.	Piotr Loti. INDYE. W przekładzie Józefa Janowskiego	80 50
399, 400.	H. Taine. ŻYWOT I MYŚLI p. F. T. GRAINDORGE, Przełożyli z francuskiego A. K. M., z przedmową Wł. Jabłónowskiego	80 50
401, 402.	M. Rodziewiczówna. NA FALI, powieść	80 50
403.	Roman Pienkiewicz. MIKOŁAJA REYA Z NAGŁOWIC ETYKA. 1500—1905.	40 25
401, 405	M. Czerny. ODŁOGIEM.	40 50
406, 407, 408.	Selma Lagerlöf. GÓSTA BERLING z szwedzkiego przełożył Józef Klepansiewiczowa	120 75
409, 410, 411, 412.	Bennet Burle eb. Korespondent wojenny „London Daille Telegraph”. PAŃSTWO WSCHODU CZYLI WOJNA JAPONSKO ROSYJSKA 1904—1905 r. Przekład Emili Węslawskiej.	160 100

### Rok 1906.

413.	Gen. Roman Soltyk. KAMPANIA 1809 r.	40 25
414, 415.	Berta bar. Suttner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80 50
416.	Generał kwaterymistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794.	40 25
417, 418, 419.	Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120 75
420, 421.	Jużusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrzy z życia kilku ostatnich pokoleń. 2 tomy	80 50
422.	W. Doroszewicz. RÓDZINA I SZKOŁA z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40 25
423, 424, 425.	DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieverza	80 50
426, 427.	OPOWIADANIA CZECHOWA, tłum. T. K.	80 50
428.	LARIK. J. Gadomski.	40 25

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
429.	WLÓCZĘGA W TRÓJKE. Jerome erome, przeł. z ang. K. Paprocki.	40	25
430, 431, 432.	Z. Morawska ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433.	Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE. Przeł. Maryi Wentzlowej	40	25
434.	Maurycy Barrés. POD PIKIELHAUBĄ. Przeł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	NEWROZA REWOLUCYJNA, według orw Cabanès i L. Nassa opracowała K. Płońska	40	25
436.	Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowia- danie.	40	25
437.	Kazimierz Bartoszewicz, KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i ma- jowych w Warszawie w r. 1791).	40	25
438 439, 441, 442.	Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTA- NIACH. Przekład z rosyjskiego	1.60	1.00
440.	Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻENSTWO JA- KICH WIELE. Studium powieściowe	40	25
443.	J Scherr. Z KRWAWYCH DNI. (Komu- na paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25

